

Poznaj Świat

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

10
2012

AUSTRALIJSKA MAGNETYCZNA RAFA

str. 12

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:
Albiński, Mazurek, Rosiak

str. 64

CZECZENIA

Nie taki Grozny jak go malują

str. 22

HISZPANIA

Barcelona Gaudiego i Zafóna

str. 56

REPUBLIKA ŚRODKOWOAFRYKAŃSKA

Upadłe cesarstwo imperatora

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614209 10

Drinking without limits.

Smart. Cool. Safe.
New Active Top



SIGG 

www.makanu.com.pl

Think wild. Eat civilized!

 **LIGHT
MY FIRE**®





Hiszpania str. 22



Kenia str. 32



Indie str. 74



Argentyna str. 88

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

MAGNETYCZNA RAFA str. 12

U wybrzeży Australii znajduje się największa na świecie rafa koralowa. **Marek Tomalik**

BARCELONA GAUDIÉGO I ZAFÓNA str. 22

Cuda architektury i dzielnice wiecznego półmroku.

Marcin Kołpanowicz

TAM TAM I INNE KIERUNKI... str. 30

Felieton **Dariusza Rosiaka**

ODCHODZĄCY ŚWIAT SUAHILI str. 32

Ta kultura powstała w średniowieczu i w Kenii jeszcze trwa. Język suahili jest jednym z dwóch urzędowych. **Paweł Leski**

SZYICKA KREW DLA IMAMA str. 44

Libańskie obchody Aszury, najważniejszego święta szyitów.

Maciej Moskwa

GEOSKOP str. 52

UPADŁE CESARSTWO IMPERATORA str. 56

Republika Środkowoafrykańska to wyniszczony kraj, ale trudno powiedzieć, że to wyłączna wina cesarza Bokassy.

Marcin Mińkowski

NIE TAKI GROZNY, JAK GO MALUJĄ str. 64

Stolica Czeczenii wita przyjezdnych napisem „Grozny – centrum świata”. **Julia Wizowska**

MAZUREK NA WYNOS str. 72

Felieton **Roberta Mazurka**

MÓJ PRZYJACIEL SWAMI str. 74

Opowieść o hinduskim guru wiodącym pustelnicze życie w Himalajach.

Michał Kocharczyk

NAVIGATOR str. 80

MIASTO POMYŚLNEGO WIATRU str. 88

W Buenos Aires wszystko jest wielkie i fascynujące. **Mirosław Olszycki**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 95

Rozmowa z **Olgą Bończyk**

ODLOTOWA PRAGA str. 96

Stolica Czech, poza cennymi zabytkami, oferuje różne formy rozrywki.

Julia Michalczewska

GÓRA str. 102

Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: POLSKA str. 104

Śladami bieszczadzkich aniołów. **Mikołaj Gospodarek**

ZŁOTO BARONA UNGERNA str. 110

Felieton **Edwarda Kajańskiego**

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 114

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Australijska
Wielka Rafa
Koralowa





Łukasz Płotecki

MALEZJA

Cisza przed burzą

Cherating to położona nad morzem miejscowość w obwodzie Pahang, znana z plaż, na których żółwie składają jaja. Jest to też najbardziej deszczowe miejsce w Malezji – obfite opady występują tu przez cały rok.



© DAVID FETTES (WIELKA BRYTANIA), Rozwiewisko hipopotamów

David Fettes (Wielka Brytania)

ZIMBABWE

Kto tam? Hipopotam!

Zbliżał się koniec pory suchej w Parku Narodowym Mana Pools w Zimbabwe. David leżał na skraju jeziora Long Pool. Gdy spojrzął przez obiektyw, zachodzące słońce rozświetliło plan, a z wody powoli wynurzył się hipopotam.

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2011, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 4 DO 28 PAŹDZIERNIKA 2012 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM ZIEMI PAN W WARSZAWIE PRZY ALEI NA SKARPIE 27. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

PORTRETY ZWIERZĄT
WYRÓŻNIENIE



Małgorzata Pokutycka

BIRMA

Bawole spa

Przy drodze z Namhsam do Hispaw w prowincji Shan można spotkać kąpiące się w błocie bawoły. W ten sposób zwierzęta chronią się przed upałem i muchami.



Aneta Żur

INDONEZJA

Para buch, konik w ruch

To nie sen. To Jawa, a dokładniej jej wschodnia część, czyli Park Narodowy Bromo Tengger Semeru. Znajduje się tu spektakularny, choć często spowity mgłami, masyw wulkaniczny.



Michał Kuźniar

POLSKA

Co dziś w sieci?

Krajobraz Kaszub to bogactwo jezior i lasów. Od wieków jednym z głównych źródeł utrzymania tutejszej ludności jest rybołówstwo. Fotografia przedstawia poranny połów na jeziorze Studzieniczno.

Iga Morzyńska

PERU

Ptaki głuptaki

Położone na południe od Limy wyspy Ballestas to siedlisko różnorodnych gatunków ptaków. Peruwiańska odmiana głuptaka, od setek lat gnieźdząca się w tym samym miejscu, pozostawia po sobie tony guana, które wykorzystywane jest jako nawóz.



Henryk Gutkowski

POLSKA

Krwiożercza piękność

Rosiczka okrągłolistna to jedna z nielicznych w Polsce roślin owadożernych. Rośnie głównie na ubogich w związki chemiczne torfowiskach. Swoje ofiary zwabia mieniącymi się kropelkami. Trawienie owada trwa 24 godziny, po których rosiczka jest gotowa do następnego polowania.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



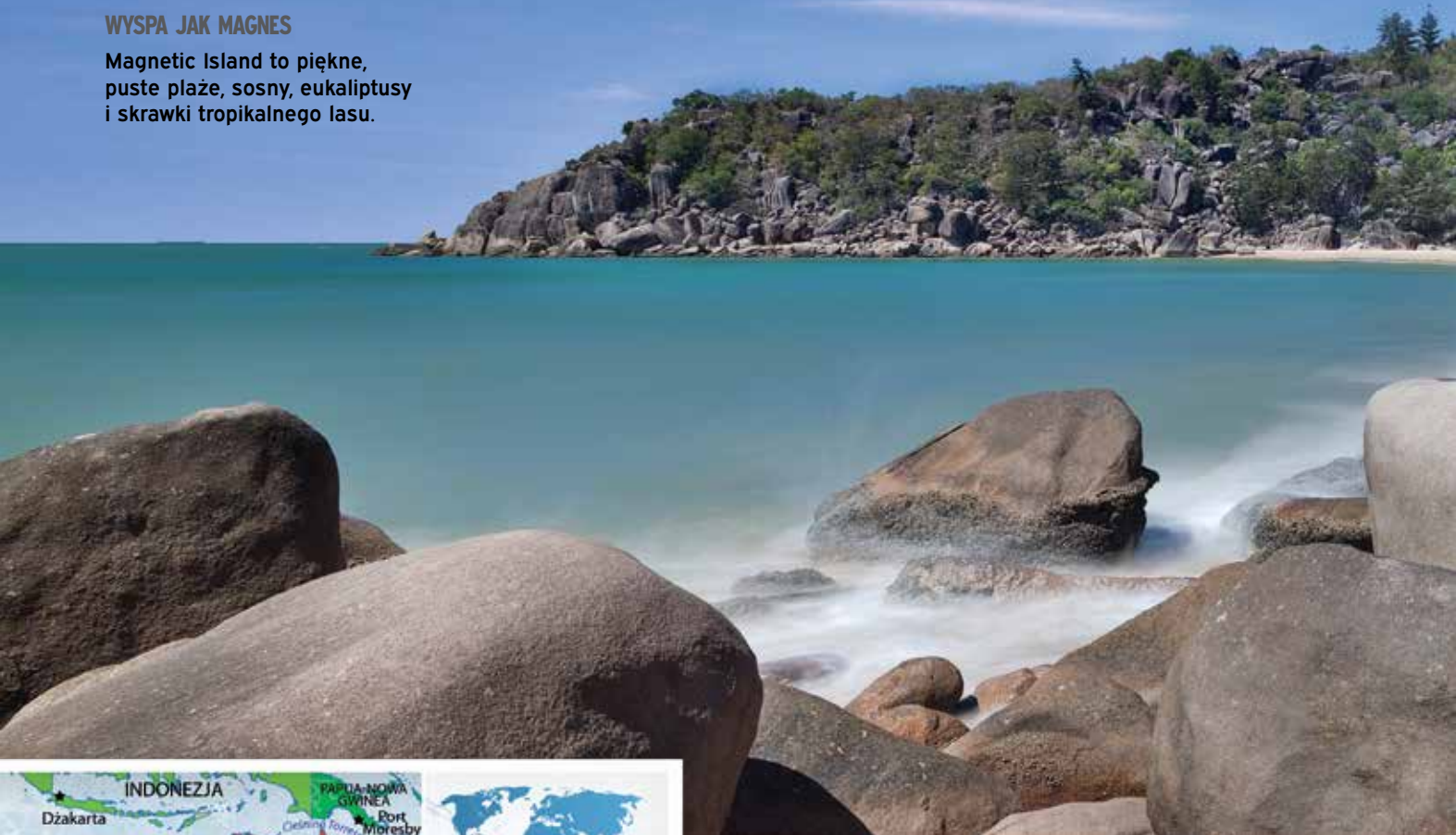
RAFA RZECZYWIŚCIE
PRZYCIĄGA, A JEJ
MAGNETYCZNA SIŁA
STANOWIĄ NIE
TYLKO NAGROMA-
DZONE TU ATRAK-
CJE PRZYRODNICZE,
ALE TEŻ SŁOŃCE,
WYJĄTKOWE PLAŻE
I POCZUCIE
NIESKREPOWANEJ
WOLNOŚCI. SŁOWEM:
ZIEMSKI RAJ.

MAGNETYCZNA RAFA

Marek Tomalik

WYSPA JAK MAGNES

Magnetic Island to piękne, puste plaże, sosny, eukaliptusy i skrawki tropikalnego lasu.



Krajobraz wielkich granitowych głazów łągodzą wysokie sosny i eukaliptusy, skrawki lasu tropikalnego, a także szerokie plaże. Niektóre z nich dostępne są tylko pieszo bądź łodzią od strony oceanu. No i podczas odpływu odsłania się przybrzeżna rafa koralowa...

ANOMALIA KAPITANA COOKA

Nazwa Magnetic została nadana przez kapitana Cooka, uważanego za odkrywcę Australii, choć przez jej wybrzeża co najmniej sto lat wcześniej przewinęli się żeglarze z Europy (Holendrzy, Hiszpanie). Płynąc wzdłuż wschodniego brzegu kontynentu, w 1770 roku Cook zaobserwował odchylenie igły kompasu, co wiązało z domniemaną anomalią magnetyczną. Nigdy później zjawisko to nie zostało potwierdzone, ale nazwa pozostała, przyjmując metaforyczne znaczenie.

Trudno się zdecydować i wybrać coś z bogatej oferty proponowanych tu atrakcji. Można żeglować, jeździć na nartach wodnych,

Ponad połowę powierzchni Wyspy Magnetycznej zajmuje Park Narodowy ze szczytem Mt Cook (497 m n.p.m.), który wznosi się dokładnie w jej środku. Dla pieszych wędrowców przygotowano tu 24 kilometry szlaków z wieloma wspaniałymi punktami widokowymi. W tym tropikalnym królestwie można bez trudu dojrzeć kangurowate wallaby, posummy, rozliczne gatunki ptactwa i niełękliwe niedźwiadki koala, zwykle pijane po eukaliptusowej uczcie.



STĄPAJĄC PO ŚPIĄCEJ RAFIE

Wstaję wcześnie rano i decyduję się płynąć na wyspę pierwszym promem, aby spędzić tam cały długi dzień. Motorowy katamaran unosi mnie na wody oceanu. Mijam port jachtowy w Townsville, port towarowy i już widać wyspę. Magnetic Island wynurza się stosunkowo niedaleko, bo 13 km od lądu, a szybki prom pokonuje tę odległość w 30 minut. Jest jedyną wyspą w północnej części stanu Queensland, gdzie nietknięty park narodowy, miejscowi rezydenci oraz ośrodki turystyczne współistnieją obok siebie. Tworzą prawdziwy raj dla turystów. I jak przystało

latać na spadochronie ciągniętym za łodzią motorową, próbować sił na desce z żaglem lub bez. Można jeździć konno, łowić ryby, grać w tenisa, golfa lub kręgle, a także pogrążyć się w przyjemnościach, jakich dostarczają tutejsze restauracje. A wszystko jest przewidziane na kieszeń zwykłych globtroterów, bo tacy na wyspie stanowią większość.

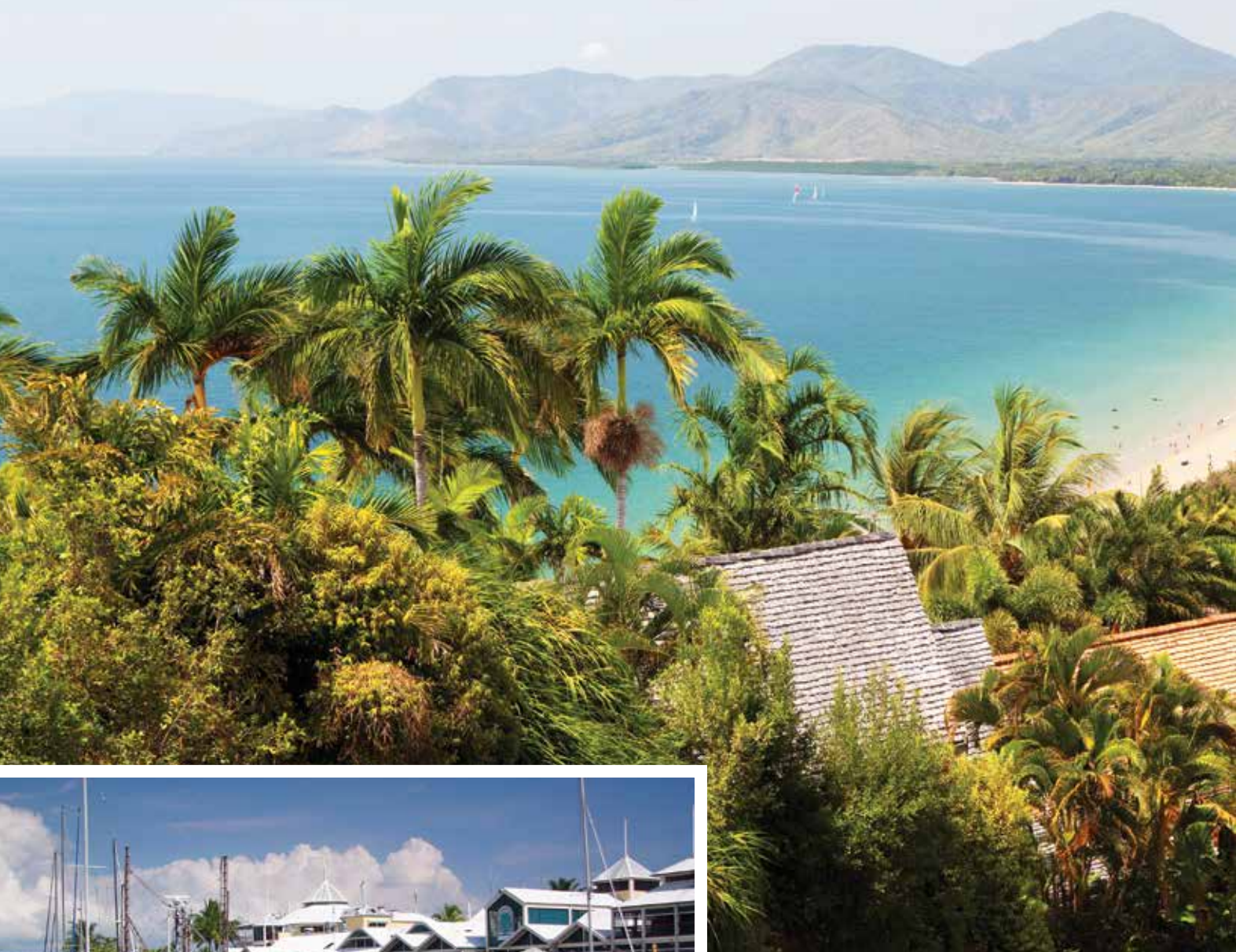
Australijskie plaże można mierzyć w tysiącach kilometrów, a wśród nich są te najpiękniejsze na świecie. Lepiej jednak nie wierzyć rankingom i zdać się na własne poszukiwania czy też podszepty zorientowanych, którzy takie miejsca już odkryli. Tych najładniejszych, czytaj: dziewiczych, trzeba szukać z daleka od wielkomiejskiego czy kurortowego zgiełku. Czasami wystarczy po prostu zjechać na chybił trafił z nadmorskiej drogi. Jeśli jednak szczęście nie dopisze – polecam rozejrzeć się w zakamarkach Magnetic Island właśnie. Można tam znaleźć niezwykłą enklawę na chwilową wyłączność i bez żadnej opłaty.

na raj, słońce świeci tu zawsze, bowiem okolice Townsville należą do najbardziej słonecznych miejsc w Australii. Oczarowują plaże, a morskie i słoneczne kąpiele wypełniają czas błogiego bytowania na wyspie.

BAJECZNE KOLOROWA RAFA KORALOWA

Panuje tu ścisły podział – w każdej strefie żyją przynależne do niej organizmy.





go z tym niszczenia. Mijam granitowy głaz. Na pierwszy rzut oka dziwią ostrygi bardzo mocno przyczepione do jego powierzchni. Po chwili odnajduję ciemną linię – górną granicę przyływu. Teraz już wiem – organizmy te wytwarzają mocne skorupy, które chronią je przed drapieżnikami i utratą wilgoci w czasie odpływu. Zaopatrzony w obuwie o twardych podeszwach stąkam po ostrych krawędziach koralowych budowli. Gdybym przebywał tutaj w okresie pojawiania się meduz (październik – maj), konieczne byłyby jeszcze długie ortalionowe spodnie chroniące przed ich niebezpiecznymi parzydełkami.

W Zatoce Geoffreya odsłania się przybrzeżna rafa koralowa. Jest uboższa w gatunki i formy koralu niż bardziej odległa od wyspy tzw. rafa zewnętrzna, która nie doświadcza okresowych wynurzeń i związane-

RAJSKA RÓWNOWAGA

Park narodowy, ośrodki turystyczne, miejscowi rezydenci i odwiedzający wyspę „plecakowcy” funkcjonują w idealnej symbiozie.



Koralowce, częściowo wynurzone, wydają się być martwe. Ale to iluzja. Wkrótce odkrywam tajemnicę ich kamuflażu. Jedne z nich tworzą mikroatole, kolonie o płaskookrągłych i sercowatych kształtach, które nawet podczas dużych odpływów gromadzą stałą, wystarczającą do życia ilość wody. Nazwano je mikroatolami przez ich zewnętrzne podobieństwo do atoli rafowych opasujących wyspy kontynentalne (w tym także Magnetic Island). Inne korale, zwane miękkimi, zawierają terpeny, substancje chemiczne chroniące przed agresorami. W czasie odpływu wciągają swoje polipy i wydzielają śluz, który chroni je przed wysy-

chaniem. Jeszcze inne, o budowie podobnej do półkul mózgowych czy plastra miodu, są częściowo lub całkowicie zanurzone.

Rafa koralowa to ekosystem. W każdej strefie żyją przynależne do niej organizmy. Prócz całej gamy koralu spotykam ogórki morskie (czarne „kiełbasy” o trybie życia podobnym do dżdżownic), jeżowce i inne stworzy. Wśród traw morskich znajdują metrowej długości nieruchomą płaszczkę, która została uwięziona w małym bajorku po odpływie. Ostrożnie podchodzę, by ją obejrzeć z bliska. Ma oczywiście spłaszczone ciało i długi ogon zaopatrzone w jadowy kolec, którym może zadawać głębokie rany szarpane. Przekonał się o tym Austin Stevens, australijski podróżnik i prezydent programów przyrodniczych, który został w ten sposób śmiertelnie raniony. Wolę więc bestii nie prowokować...

Pozornie martwa rafa jedynie śpi, oczekując na najbliższy przypływ, który wraz z wodą przyniesie pokarm. Wystarczy zanurkować, by ocenić zmiany, jakie dokonują się na koralowej łące po przypływie. Woda nadaje blasku szarym szkieletom koralu. Jak ślimak czułki, wysuwają one wielobarwne polipy. Tysiące ryb o zwiariowanych kształtach i odblaskowych barwach przemyka i szuka schronienia pomiędzy koralowymi fortecami. Rafa staje się bajeczna.

DWA TYSIĄCE KILOMETRÓW KORALI

Wielka Rafa Koralowa w pobliżu Australii rozciąga się południkowo na długości 2000 km – od Cieśniny Torresa na północy, nieznacznie przekraczając zwrotnik Koziorożca na południu. Jest unikalnym podwodnym ekosystemem zamieszkanym przez ponad 1500 gatunków ryb, 400 gatunków koralu, 4000 gatunków mięczaków, a także inne organizmy morskie, takie jak gąbki, ukwiały, rozgwiazdy. W jej obrębie żyją tysiące żółwi morskich, gniazduje wiele gatunków ptaków, m.in. fregaty, głuptaki, burzyki pacyficzne i mewy. Zimą do brzegów rafy przybywają z Antarktyki wieloryby – humbaki. Podobnie jak w lasach, panuje tu ścisła strefowość – od piaszczystej plaży, płytkiego rowu, poprzez rafową równinę i strome zbocza rafy zewnętrznej, opadające do oceanicznych głębin.

FOT. SHUTTERSTOCK



Najpiękniejsza zewnętrzna rafa leży na południu, 300 km od brzegów kontynentu. W północnej części Australii przytula się ona do lądu na odległość 60 km. Warto wyłożyć 150 dolarów i znaleźć się w jej pobliżu. Zarówno z Townsville, jak i z innych miejsc na wschodnim wybrzeżu organizowane są jednodniowe eskapady (najtańsze z Cairns i Port Douglas).

Tym, którzy chcą poznać rafę z dala od turystycznego blichtru i w bardziej dzikiej oraz wolnej od zanieczyszczeń scenerii, polecam szczególnie Przylądek Północno-Zachodni

– Ningaloo Reef. Tereny te, z rzadka odwiedzane przez turystów z Europy, mają jeszcze jedną przewagę nad wschodnim wybrzeżem Australii – tutaj rafa jest niemal przyklejona do oceanicznych brzegów. Wystarczy pokonać wprawdę dystans nie większy niż 100 m, aby nacieszyć oczy tym, co pod wodą stworzyła natura.

PODWODNY SUPERREZERWAT

W połowie czerwca rząd Australii ogłosił, że powstaje największy na świecie morski re-





zerwat przyrody. Będzie się on składał z kilkudziesięciu mniejszych rezerwatów i obejmie m.in. Wielką Rafę Koralową. Jego łączna powierzchnia ma przekroczyć trzy miliony kilometrów kwadratowych (dziesięć razy więcej niż powierzchnia Polski), na których nie będzie prowadzona żadna działalność gospodarcza, a w szczególności – wydobywanie surowców i połowy ryb w niezwykle zasobnym Morzu Koralowym. To pomoże chronić najcenniejsze światowe zasoby wód tropikalnych.

Rząd Australii działał pod silną presją opinii publicznej, sterowanej przez międzynarodową społeczność AVAAZ, która wystosowała petycję skierowaną do ministra środowiska Tony'ego Burke'a, podpisaną przez ponad pół miliona ludzi. Pod takim ciśnieniem minister zadziałał, i to bardzo skutecznie. A nie było to łatwe, bo musiał stawić czoła potężnemu lobby wydobywczemu oraz przekonać tysiące wędkarzy i rybaków żyjących – często od pokoleń – z połowów w akwenie Morza Koralowego.

Zwycięstwo AVAAZ jest kolejnym pozytywnym sygnałem, jak wielkie i skuteczne poparcie dla dobrej sprawy można zgromadzić przy pomocy internetu. Jest też dowodem na dojrzałość rządu tego kraju. Jakoś nie wyobrażam sobie, aby podobne działania miały na przykład powstrzymać wyręb lasów w brazylijskiej Amazonii. Oczywiście, nie brakuje sceptyków, którzy uważają, że rząd Australii przeczekuje skomasowane natarcie i po kilku miesiącach będzie wycofywał się z obietnic. Jest to jednak mało prawdopodobne, gdyż ewentualne odrzucenie ogłoszonej już decyzji byłoby kompromitacją i wielkim ryzykiem dla elit rządzących.

Ekosystemy oceaniczne obumierają pod wpływem zanieczyszczenia i niekontrolowanego połowu ryb. Decyzja o utworzeniu tak gigantycznego rezerwatu daje nadzieję, że nie wszystko jeszcze stracone. ○

FOT. SHUTTERSTOCK

XIV TARGI ŻEGLARSTWA
I SPORTÓW WODNYCH



POLAND
BOATSHOW

ŁÓDŹ

16 - 18 listopada 2012



fot. Magdalena Lasocka

www.boatshow.pl

PATRONAT MEDIALNY



ORGANIZATORZY:



PATRONAT HONOROWY



WSPÓLPRACA



WSPÓLPRACA MEDIALNA



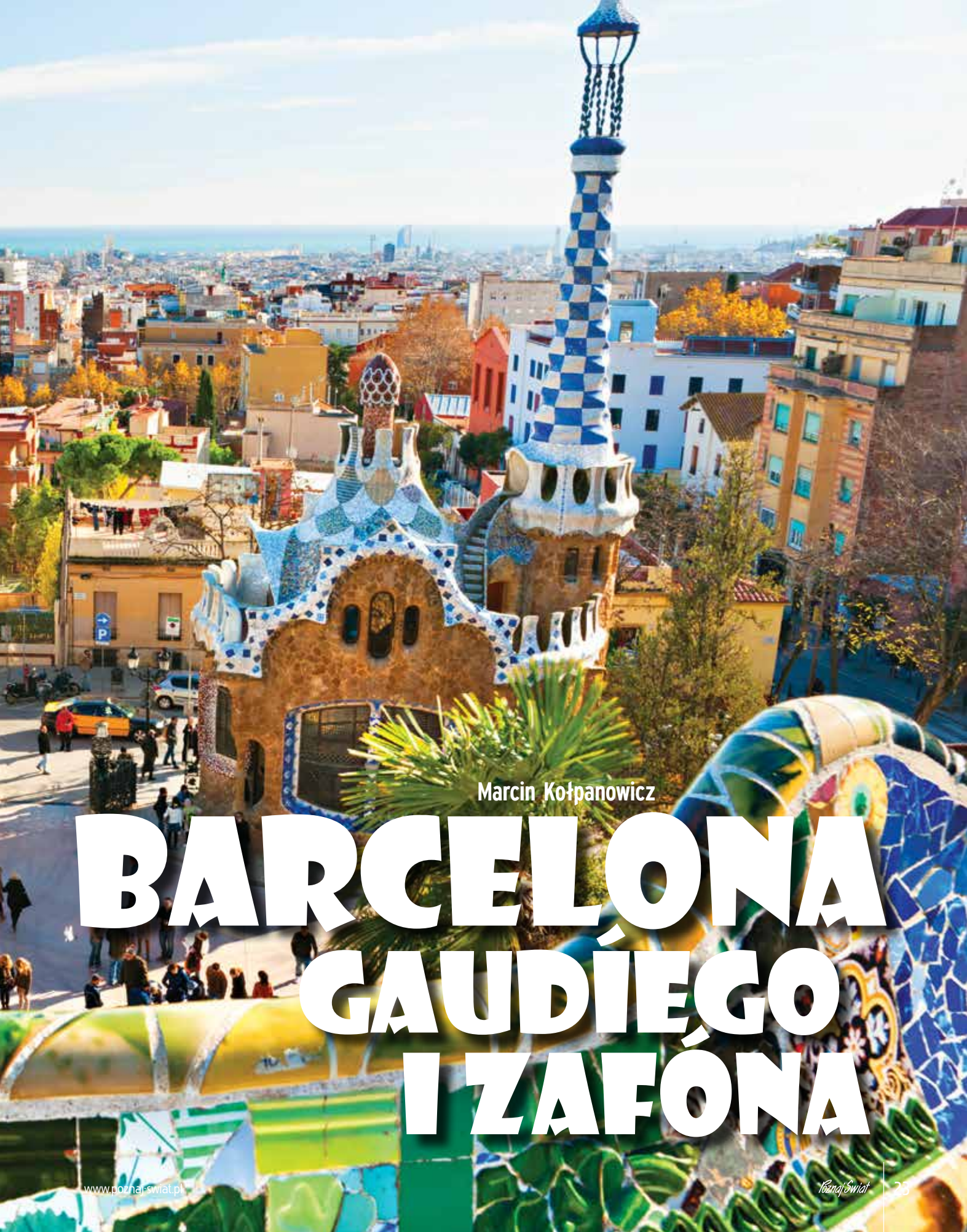
DWA GRZYBY W PARK

Ceramiczne dachy pawilonów u wejścia do Parku Güell wieńczą muchomory: czerwony i sromotnikowy.



PHOTO SHUTTERSTOCK





Marcin Kołpanowicz

BARCELONA GAUDIĘGO I ZAFÓNA



Nad kościołem operują dwa potężne dźwigi, wewnątrz słychać stuk młotów, odgłos ciętego i szlifowanego kamienia. Choć świątynia nie jest jeszcze gotowa, była już obiektem ataku zamachowca, który w 2011 roku wzniecił pożar w kaplicy adoracji.

Najbardziej udany z całej powieści o Barcelonie jest tytuł: „Cień wiatru”. Pomysł z Cmentarzem Zapomnianych Książek w pierwszym rozdziale też się Carlosowi Ruizowi Zafónowi udało, ale im dalej, tym gorzej. Sprzedane w milionach egzemplarzy, napisane dziewiętnastowieczną manierą czytało, stało się jeszcze jednym wabikiem na turystów. Jednak główny magnes Barcelony to Antonio Gaudí. Niewie-

le jest miast, którym tak silne piętno nadał jeden człowiek. Ale też nie było dotąd katedry zaprojektowanej w całości przez pojedynczego twórcę.

DZIEŁO WSZECH CZASÓW

Temple Expiatori de la Sagrada Família (Świątynia Pokutna Świętej Rodziny) to jedna z najambitniejszych autorskich realizacji architektonicznych wszech czasów. Wprawdzie



PATRON GARBARZY

Każdy z dwunastu apostołów ma swoją wieżę, a na niej rzeźbę. Św. Bartłomieja (dłuta Josepa Subirachsa) trzyma w ręku swój atrybut: nóż, którym... został obdarty ze skóry.



hiszpańska wojna domowa przerwała budowę katedry, a republikanie (zgodną Państwo? tak, tak!) zniszczyli większość projektów i makiet Gaudiego, ale prace podjęli jego współpracownicy i następcy. Budowa trwa do dziś i zakończy się, jeśli dobrze pójdzie, w stulecie śmierci architekta, czyli w 2026 roku. Sam Gaudí mawiał jednak: „Mojemu Klientowi się nie spieszy”.

Twórca za swojego życia zdążył wybudować pierwszą z fasad – Narodzenia, która od razu zaczęła wzbudzać skrajne emocje. George Orwell nazwał ją najohydniejszym budynkiem świata, zachwycał się natomiast Paul Goldberger, czołowy krytyk „New Yorkera”, który określił ją jako „najbardziej niezwykłą osobistą in-

terpretację gotyku w historii architektury”. Gdy ogląda się, podobne budowlom termitów, wieże Sagrada Familia, imponuje rozmach i wizja.

Także niezwykła jest druga fasada, zwana Fasadą Męki, z rzeźbami Josepa Subirachsa. Choć na pierwszy rzut oka wydają się one być karykaturalnie skubizowane, w istocie nawiązują do romańskiej sztuki Katalonii. Cechują się doskonałym wyczuciem kamienia, współgrają z potężnymi pylonami, a brutalną, ekspresyjną formą podkreślają drastyczność męki Chrystusa. Niedawno ukończona nawa to bez wątpienia najpiękniejsze wnętrze współczesnej architektury kościelnej i jedno z najwspanialszych wnętrz sakralnych w ogóle.

NAWA JAK ALEJA

Gaudí zaprojektował kolumny w kościele Sagrada Familia, naśladując rozwidlające się konary platanów.

KATEDRA W BARCELONIE

Taki tytuł nosi powieść Ildefonsa Falconesa, w której opisał średniowieczną, tajemniczą katedrę Santa Maria del Mar. Książki jego i Zafóna – dostępne poniżej.



FOT. MARCEN KOŁPANOWICZ

Nie wiadomo jeszcze, jak wyglądać będzie trzecia, Fasada Chwały...

BUDOWLA JAKO TRAKTAT TEOLOGICZNY

Gaudí był wnikliwym obserwatorem i pojętym uczniem natury – swoje kapryśne struktury opierał na matematycznych przetworzeniach pni drzew, łodyg roślin, muszli morskich, jeżowców czy plastrów miodu. Na przykład linię kręconych schodów na chór stworzył według spirali, po jakiej opada nasienie klonu. Dzięki tej przejętej od natury logice i celowości wnętrze pełne jest majestatu i anielskiej harmonii. Jest też arcydziełem kolorystycznym, w którym wykorzystano pastelowe odcienie naturalnego kamienia (kremowe piaskowce, zielonkawe bazalty, szare granity i sinawe porfiry) oraz ruchomą mozaikę światła, przefiltrowanego przez barwne witraże.

Budowla jest w istocie przemyślanym traktatem teologicznym. Gaudí, będąc duszą głęboko mistyczną, zapragnął ofiarować tracącemu wiarę światu wykład tajemnic Zbawienia – wykuty w kamieniu, odlany w brązie, wypalony w glinie.

Dziś nieznanne za czasów Gaudiego technologie cięcia kamienia oraz komputerowe wsparcie projektów wykonawczych przyspieszają zakończenie budowy. Zrealizowana jako pierwsza Fasada Narodzenia znakomicie spełniła swoją rolę – wzbudziła tak wielkie zainteresowanie całego świata, że zaczęła dosłownie „zarabiać” na nawę i pozostałe dwie fasady. Trzeba przyznać, że bazylika jest cudem nie tylko plastycznym, ale też ekonomicznym – budowy nie funduje ani Kościół, ani tym bardziej laickie państwo, ani też ratusz Barcelony. Ogromne sumy potrzebne na kontynuację śmiałego przedsięwzięcia pochodzą z prywatnych dotacji i – w głównej mierze – z biletów wstępu. To miliony turystów, płacąc 16 euro za możliwość zwiedzenia placu budowy, finansują tę niezwykłą inwestycję.

Będąc jeszcze *in statu nascendi*, świątynia już została włączona na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Ale kontrowersyjny projekt ma nadal wielu wrogów. Do dziś prowadzą oni krecią robotę, i to najbardziej dosłownie, gdyż pod wschodnią fasadą, mimo protestów,

SAGRADA BIBLIOTEKA

W zdesakralizowanym kościele mieści się dziś księgarnia.



FOT. MARCEN KOŁPANOWICZ

władze miasta wydrążyły tunel, którym wkrótce przejeżdżać zacznie szybka kolej. Wpływ drgań na mury kościoła może być groźniejszy od ekscesu szaleńca, który chciał go podpalić.

STARA GOTYCKA WYTWÓRNIĄ CIENIA

Sagrada Família stanowi swoistą konkurencję dla starej katedry w Barcelonie, cudownego trzynastowiecznego budynku z ażurową kutą dzwonnica, panującego nad najstarszą dzielnicą miasta – Barri Gòtic. Mroczne wnętrza katedry z brązowego kamienia, na którym widać plamy czasu, kryje w sobie kryptę patronki miasta – świętej Eulalii, męczennicy z czasów cesarza Dioklecjana. Kapiące złotem ołtarze oplatają krużganki. Pośrodku kwadratowego dziedzińca jest sadzawka, na której domek mają gęsi – ich donośne krzyki przeplatają się z chorałami dochodzącymi z kościoła. Tradycja hodowania gęsi w centrum miasta pochodzi z czasów rzymskich – były one żywą syreną przeciwpożarową. A jest ich trzynaście – na pamiątkę młodego wieku barcelońskiej męczennicy.

Ciągnąca się od katedry w stronę morza najstarsza gotycka dzielnica miasta jest prawdziwą wytwórnią cienia. To Barcelona Zafóna – depresyjny moloch, w którym panuje wieczny półmrok, unosi się mgła i siąpi mżawka. Cały kwartał wysokich budynków, przeciętych regularną siatką wąskich uliczek, daje schronienie przed katalońskim słońcem. Klaustrofobiczne zaułki, wąziutkie sienie ze stromymi schodami, zasłonięte okna, „deszcz” z suszącego się zawsze i wszędzie prania, gnیلne wyziewy kanałów – wszystko to bliskie jest mrocznym klimatom prozy Zafóna.

Zagracone sklepiki, niechlujne pralnie, stolarnie i ciemne szwalnie sąsiadują tu z wytwornymi butikami i nastrojowymi kafejkami. Tutaj też mieszczą się antykwariaty, których wypełnione książkami, od podłogi do sufitu, pomieszczenia rozgałęziają się w głębokie, ciemne korytarze. W murach zdesakralizowanego romańskiego kościoła mieści się jedyna w swoim rodzaju dwupoziomowa księgarnia. Bez wątplenia przybytki te nasunęły Zafónowi pomysł Cmentarza Zapomnianych Książek.

KAWAŁEK CIENIA

Nawet wtedy,
gdy słońce jest w zenicie,
na ulicach Barri Gòtic
panuje chłód.



**KAMIENIOŁOM
W CENTRUM MIASTA**

Casa Milà autorstwa Gaudiego zwana jest przez barcelończyków „La Pedrera” – kamieniołomem.

**MAŁY WIELKI ŚWIAT
SEÑORA JUANA**

Przed przystąpieniem do realizacji Sagrada Família Gaudí zdążył wzbogacić wygląd miasta kilkoma niezwykle oryginalnymi kamienicami (takimi jak Palau Güell, Casa Milà czy Casa Batlló), których fasady reproduko-

wane są w każdym podręczniku historii architektury. Stworzył też park Güell – rozległy, położony na zboczu wzgórze ogród widokowy, niedościgniony wzór ekstrawagancji, humoru i fantazji w kształtowaniu przestrzeni parkowej. Gdy wracałem z Güell, zagadnął mnie wąsaty starzec w białym kapeluszu siedzący na krzeselku przed bramą swego domu. – *No comprendo* – odparłem, ale niezrażony tym mężczyzna nawijał dalej, a z jego przemowy wywnioskowałem, że na imię ma Juan oraz wyłowilem znajomo brzmiące słowa „muzeum”

i „miniatura”. Domyśliłem się, że señor Juan zaprasza mnie do zwiedzenia muzeum miniatur, a wstęp płatny jest z góry i wynosi 1 euro.

Sądziłem dotąd, że cały twórczy i artystyczny wysiłek ludzkości istniał po to, by w formie najohydniej wykonanych plastikowych gadżetów (*made in China*) być oferowanym przez ulicznych sprzedawców pamiątek japońskim turystom i niemieckim emerytom. Byłem w błędzie – okazało się, że dorobek cywilizacyjny naszego gatunku wypracowany został także w tym celu, by w zminiaturyzowanej formie pomieścić się w pewnym garażu w Barcelonie.

Armie plastikowych żołnierzyków, makie ty zabytków, miniaturowe szopki, figurki madonn, pocztówki, kartonowe sylwetki wycięte z dziecięcych czasopism, zdezelowane lalki, nadmuchiwane lwy, modele samolotów, statków, pociągów i dinozaurów oraz cmentarzysko zapomnianych kinder-niespodzianek – wszyst-



FOT. MARCIN KOŁPANOWICZ

ko to ustawiono w ilościach kosmicznych na półkach, szafkach i półkach w garażu señora Juana. Sam właściciel, kustosz, dyrektor i przewodnik w jednej osobie, podpierając się kulami, oprowadza po tej skondensowanej historii świata, ilustrując wykład śpiewem („Katusza” – gdy pokazuje armię czerwoną, „Marsylianka” – gdy przechodzi do rewolucji francuskiej, „Heili hailo” – gdy wskazuje na armię Hitlera), gwizdaniem („Most na rzece Kwai”) oraz onomatopiecznymi odgłosami przejazdu czołgów, wybuchów bomb, salw karabinowych i eksplozji granatów. Karol Wielki, Kaczor Donald, Napoleon, Asterix z Obelixem, Chruszczow, King-Kong i Marylin Monroe sąsiadują tutaj ze sobą, dobitnie ilustrując bogactwo i różnorodność ziemskiej cywilizacji.

W trakcie sugestywnego wykładu, w którym za wskaźnik służy señorowi Juanowi końcówka kuli, zapominam zupełnie, że nie znam hiszpańskiego, i pod koniec rozmawiam już

dość płynnie z moim gospodarzem. Pod ścianą oparte flagi wielu państw – pytam więc, czy ma polską. Okazuje się, że nie, ale señor Juan wyciąga z portfela specjalnie przygotowaną wizytówkę (wymiętą karteczkę z napisanym nazwiskiem i adresem) i prosi o przesłanie mu pocztą brakującej flagi. Żegnając się, obiecuję, że tak uczynię.

Idąc, wyobrażam sobie, że kiedy nad Barceloną zapada noc, ten niewinnie wyglądający emeryt zamyka bramę swego garażu i zaczyna odprawiać mroczny rytuał. Stukając laską w spód półki, wywołuje trzęsienia ziemi, włączając wentylator – tornada, a polewając makiety wodą z węża – powodzie. A potem, z demonicznym uśmiechem, wyjmując z tekturowego pudełka nadmuchiwany grzyb eksplozji atomowej i zastanawia się, czy teraz... czy później... czy może poczekać do 21 grudnia 2012.

Ale to już chyba temat dla Carlosa Ruiza Zafóna. ○

ŚWIAT WEDŁUG JUANA

Po „muzeum miniatur” stworzonym we własnym garażu oprowadza señor Juan – kustosz, dyrektor i przewodnik w jednej osobie.



Heidi Holland miała klasę. Była znakomitą dziennikarką, publicystką polityczną – jedną z najbardziej znanych i cenionych w RPA, autorką chyba najwnikliwszej dotąd biografii Roberta Mugabego. Ale nie to dla mnie było w niej najbardziej atrakcyjne.



Najważniejszy był jej styl – uśmiech, życzliwość wobec ludzi, których spotykała, a wszystko to zaprawione szczyptą dystansu. Tak jakby chciała powiedzieć: jestem dla was, ale nie łudźcie się, że mnie poznacie. To jest cecha osób, które wiele przeżyły i rozumieją, że człowiek jest istotą ułomną, ale do końca nie godzą się na triumf cynizmu i miernoty. Nikt – może poza najbliższą rodziną – nie wie, dlaczego 11 sierpnia

w wieku 64 lat odebrała sobie życie we własnym domu w Johannesburgu.

Heidi Holland poznałem przez telefon. Gdy w 2008 roku ukazała się jej książka „Dinner with Mugabe” (Kolacja z Mugabe) wiadomo było, że to jeden z najbardziej przenikliwych portretów psychologicznych afrykańskiego tyra. „Tyran” to było określenie, które stosowała wobec Mugabego sama autorka, ale jej książka, która wkrótce stała się światowym bestsellerem, nie

była żadnym pamfletem politycznym odwołującym się do znanych stereotypów. W książce Heidi Holland Robert Mugabe był zlepkiem różnych postaci i osobowości: dyktatorem, szaleńcem nie liczącym się z nikim, bandziorem mordującym bez mrugnięcia okiem przeciwników politycznych – a równocześnie legendą walki z rasizmem i kolonializmem w Afryce, twórcą sukcesu cywilizacyjnego Zimbabwe, wspaniałomyślnym dla swoich wrogów mężem

stanu i genialnym strategiem politycznym; zimnym, niedorozwiniętym emocjonalnie, nieprzewidywalnym despota, a przy tym wybitnym intelektualistą, gentlemanem zakochanym w krykocie i brytyjskiej kulturze, wyróżnionym przez Elżbietę II honorowym tytułem szlacheckim.

Po tej pierwszej rozmowie telefonicznej rozmawiałem z Heidi Holland o Mugabem wielokrotnie i zawsze miałem to samo wrażenie: ona go lubiła. Nie znosiła tego, co wyprawiał z krajem jej dzieciństwa, traktowała go jako krańcowy przykład polityka egocentrycznego i wyobcowanego od świata. Z całym swoim rasizmem, przemocą, nieliczeniem się z drugim człowiekiem Mugabe był jednak dla Heidi Holland ofiarą, która sama staje się tyranem, kimś, kto cierpiąc, potrafi zadawać niewyobrażalne cierpienie innym.

Ta pasja w drążeniu motywacji ludzkich była fascynująca u Heidi Holland i to zarówno u pisarki, jak i osoby, z którą miałem

szczęście rozmawiać wiele razy na różne tematy.

Urodzona w Johannesburgu dorastała na północy Zimbabwe w bogatej białej rodzinie. Pracowała w banku, potem szybko włączyła się w działalność przeciwko reżimowi Iana Smitha. W wyniku osobistych perypetii życiowych wróciła do RPA w 1980 roku. Zaczęła pisać o Afrykańskim Kongresie Narodowym, została publicystką znanej gazety „The Star”, wydała kilka książek.

W dzielnicy Melville prowadziła mały hotel, w którym stworzyła coś w rodzaju salonu polityczno-kulturalnego. To tam poznałem ją osobiście przed trzema laty. Heidi miała dwie szyfity: poranną od 7 do 9, kiedy towarzyszyła swoim gościom w śniadaniu, i wieczorną, która odbywała zawsze według tego samego rytuału: wystawiała na stół butelkę białego wina (kilka, jeśli było więcej gości), piła z nimi lampkę, napoczynając jakiś temat, a potem nie wiadomo jak i kiedy zniknęła. Wycofywała się do swojego domu na tej samej ulicy, a goście zostawali we własnym gronie: dziennikarzy, dyplomatów, pisarzy, pracowników organizacji pozarządowych, włóczęgów z całego świata.

Heidi jednoznacznie dawała do zrozumienia, że nie występuje w roli przewodnika czy „fixera” dziennikarzy, dlatego nigdy jej nie prosiłem o pomoc. Sama ją oferowała, gdy z rozmowy wynikało, że jej porada się przyda. Tak jak weryfikowała gości, którzy zatrzymywali się w jej hotelu, uczestniczyła – albo nie – w dyskusjach, które toczyli – tak sama wyznaczała granice, do jakich chciała się zbliżyć.

Byłem w hotelu w Melville na wiosnę 2010 roku. Pewnego wieczora odbyłem długą rozmowę z Heidi na temat Katynia i zbrodni sowieckich w czasie II wojny światowej. Orientowała się bardzo dobrze w europejskiej historii i mimo liberalnych przecież poglądów nie widać u niej było fascynacji sowieckim komunizmem.

Po kolacji na tarasie pojawiał się Szkot, któregoś wieczora przyszedł w bluzce z podobizną Stalina i podpisał: „W demokracji nie liczy się, kto na kogo głośuje, ale kto liczy głosy”. Spytałem go, czy wie, co to jest Katyń. Powiedział, że wie, więc spytałem, dlaczego nosi bluzkę z podobizną mordercy. Szkot, skądinąd sympatyczny człowiek, wytłumaczył, że chodziło mu o cytat, a nie o Stalina, widziałem, że mu było głupio. Wyszedł z salonu i po chwili wrócił ubrany w inną koszulkę. Na niej podobizna Einsteina i cytat: „Ludzka głupota nie ma granic”.

10 kwietnia wyjechałem z Melville na kilka dni na północ, po powrocie rozmawialiśmy na temat katastrofy pod Smoleńskiem. Wówczas wydawało mi się to jakimś niezrozumiałym żartem losu

– co ja robię w Johannesburgu w takiej chwili? Dziś cenię tamten czas spędzony właśnie z nią, jej mądre słowa, przenikliwość, wyrazy sympatii.

U Heidi Holland w Melville spotykałem różnych dziwnych ludzi: wychodząc z pokoju na śniadanie, nie wiedziałeś, jakie towarzyskie atrakcje czekają w jadalni. Akurat wtedy, na wiosnę 2010 roku, śniadania jadłem zwykle w towarzystwie Anglika, autora przewodnika Rough Guide, który opowiadał mi o swoim pokręconym życiu. Lekarze zdiagnozowali jego stan jako „pograniczne zaburzenie osobowości”. Było też małżeństwo gejów z Kanady, pracowników organizacji pozarządowych (właśnie wrócili z Kijowa, gdzie, jak mówili, pomagali politykom w budowaniu demokracji – raczej niezbyt skutecznie). Był facet z Namibii, który wpadł tam samochodem do rowu, jadąc z misją pomocową i coś mu w kręgosłupie pękło, więc przyjechał do Johannesburga na specjalistyczne badania. U Heidi bywali korespondenci wszystkich znaczących mediów w RPA, kiedyś przyszedł Estończyk z BBC, amator języka Xhosa; prezentował zebrany różny młsańcica i kliknięcia, które znaczą co innego zależnie od ułożenia języka na podniebieniu.

To było jak oglądanie fascynujących filmów podróżniczych albo politycznych, niestety, niemal wyłącznie w kolorze białym. Kiedyś spytałem Heidi, dlaczego tak niewielu czarnych odwiedza Melville House. Tłumaczyła, jak mało zmieniała się mentalność mieszkańców RPA po 1994 roku, jak bardzo rasa ciągle decyduje o tym, kim jesteś i gdzie jest twoje miejsce w społeczeństwie. Czarnych zapraszała, ale rzadko wpadali, pewnie nie czuli, że to ich miejsce.

Była niesłychanie krytyczna wobec korupcji, głupoty, braku kompetencji czarnych rządów zarówno w RPA, jak i Zimbabwe. A przy tym nigdy nie traciła wyczucia proporcji, bystrości umysłu i poczucia humoru.

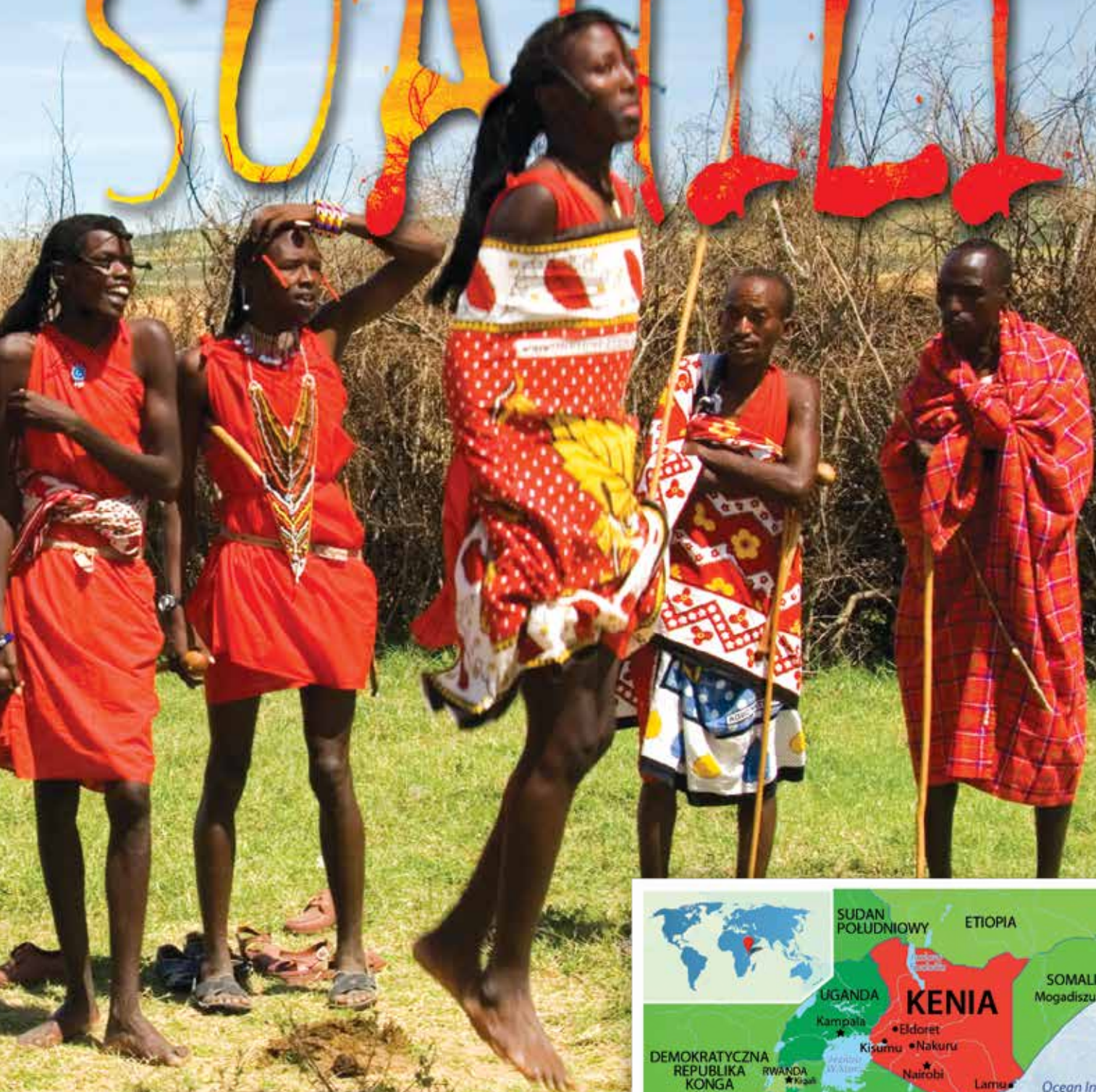
Pogrzeb Heidi Holland odbył się 12 sierpnia w Johannesburgu, w kościele metodystycznym, w którym przez lata chronili się uchodźcy z Zimbabwe i z którym Heidi współpracowała. Mnie zostaną nagrane z nią wywiady, książki, jej słowa wypowiedane z silnym południowoafrykańskim akcentem i ten życzliwy uśmiech. ○

odchodzący świat

Paweł Leski



SUAHILI



FOT. DARI SZ. MALIŃSKA



Suahili zamieszkują
wybrzeże,
które przyciąga
zabytkami, ruinami
średniowiecznych
miast i oceanem.
Ich kultura fascynuje
swoją tajemniczością
i średniowieczną
cywilizacją.

Nawet największy erudyta obecnych czasów – profesor Google niewiele wspomina o Salimie bin Abakanie. A dla mnie to postać niezwykła. Dziewiętnastowieczne książki podróżnicze kojarzą się raczej z opisywaniem Afryki przez podróżników z Europy, a nie na odwrót. Tym bardziej ciekawi dawny autor z obecnej Tanzanii, który swoje wrażenia z wędrówki w „odwrotnym” kierunku zawarł w pierwszej książce podróżniczej w języku suahili – „Safari yangu kwa Urusia wa Siberia” (Moja podróż przez Rosję i Syberię).



To dzieło, którego chyba nikt nie przetłumaczył i którego od wielu lat nie udaje mi się zdobyć. Moje pytania, zadawane w kenijskich księgarniach, wywoływały zdumienie. Bezskuteczne okazały się kontakty tanzańskie. A przecież Salim bin Abakan powinien być ikoną regionu, pokazującą eksplorację świata w drugą stronę...

POLAKU, UCZ SIĘ SUAHLILI

Kultura Suahili, obejmująca teren wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego, od południowej



FOT. DABUSZ MARIOWSKI

granicy Somalii do Mozambiku, pozostawiła po sobie dorobek unikatowy w skali kontynentu (jeśli nie liczyć arabskiej Północy). Powstała we wczesnym średniowieczu z mieszaniny wpływów arabskich i perskich z elementami rdzennie afrykańskimi, tworząc coś bardzo oryginalnego. Bliskowschodni żeglarze przynieśli załączki potęgi materialnej i technicznej oraz religię – islam. Na miejscu stanowili jednak mniejszość i już język, mimo arabskich naleciałości, jest typowym językiem z grupy bantu.

Sama nazwa pochodzi prawdopodobnie z arabskiego słowa *saahel*, czyli wybrzeże.

Suahili stanowi obecnie *lingua franca* Afryki Wschodniej i jest językiem urzędowym w Tanzanii, Kenii i wschodnich prowincjach Demokratycznej Republiki Konga. To język wdzięczny do uczenia się dla Polaków, gdyż akcentowany na drugą sylabę od tyłu powoduje, że mówienie przez nas jest poprawne i wzbudza uznanie nauczycieli. Na dodatek nie istnieją w nim dźwięki, które nie występowałyby w języku polskim, co ułatwia wymowę, będącą zmorą zachodnich Europejczyków.

Wprowadza też w dobry nastrój, bo ze względu na niezwykle zagęszczenie dźwięków

POD AKACJAMI

Nagrzana ziemia, rzadkie trawy i cierniste akacje – tak wygląda otoczenie rdzennych mieszkańców Afryki Wschodniej.

Na kenijskich wyżynach, ukryte za kolczastą zerbą chroniącą od drapieżników, koczują niewielkie społeczności pasterskie.



**U MASAJÓW
PODSKAKUJĄ MĘŻCZYŹNI**
Wojownicy tego plemienia, znani z rytualnego tańca skoków, noszą się na czerwono. Ci, którzy chcą być jeszcze bardziej eleganccy, rozciągają sobie małżowiny uszne.

„dź” przypomina często gaworzenie dziecka. Trudno nie wpaść w dobry humor, mówiąc w tym języku np. sto jednaście (*mia modzia na kumi na modzia*), że nie wspomnę o wujku (*mdziomba*), wnuku (*mdziuku*) czy mieście lub wsi (kolejno: *mudzi i kidzidzi*).

KREWNI W SZKOCKĄ KRATĘ

W Kenii suahili jest, obok angielskiego, językiem urzędowym, ale oczywiście nie jedynym używanym. Jak większość tutejszych krajów, składa się ona z etnicznej mozaiki ze swoimi tradycjami i językami. Najbardziej wpływowi są Kiku-

ju, pochodzący z centrum kraju, z okolic drugiej po Kilimandżaro góry Afryki – Mount Kenia. To oni walczyli z Brytyjczykami o niepodległość. Z Kikuju wywodził się też pierwszy prezydent niepodległej Kenii, Jomo Kenyatta. Także obecnie sprawują oni władzę, co boli część innych grup etnicznych, zwłaszcza konkurencyjnych Luo.

Symbolem turystycznej Kenii są Masajowie. Ich wioski i charakterystyczne ubrania widać w każdym folderze turystycznym, i pewnie dlatego niespecjalnie mnie do nich ciągnie. Ale może to błąd, bo to ciekawy lud, dość tradycyjny, choć na szczęście odcho-



...A U SAMBURU RZĄDZĄ KOBIETY

To one tańczą dla turystów i stroją się w wielkie koliste naszyjniki, misternie wykonane z maleńkich koralików.



dzący od części swoich zwyczajów i wierzeń. Zgodnie z tradycyjną religią masajską, Bóg na początku świata podarował wszystkie krowy Masajom. W związku z tym jeżeli nie-Masaj ma krowę, to znaczy, że ją ukradł i można mu ją odebrać. W ten sposób, w spokoju sumienia, Masajowie zajmowali się przez lata rabunkiem bydła sąsiednich plemion.

Masajowie zdobyli sławę, natomiast niewiele wiadomo o pokrewnych im grupach etnicznych, tak podobnych w zwyczajach i ubiorach, że niemal nie do odróżnienia. Jak choćby mieszkających nieco bardziej na północ Samburu czy zupełnie na północy kraju – Turkana.

Pobratymców Masajów znaleźć można również po drugiej stronie granicy ugandyjskiej (Karamojong) i sudańskiej (Teso).

Wszyscy ubierają się w bardzo ładne szaty w kratę zbliżoną do szkockiej, a rozróżnić ich można po innych kolorach, np. Turkana ubierają się w kratę czarno-białą, a Samburu czerwono-białą. Wszystkie trzy plemiona uznają też za stosowne deformować sobie uszy, co najwyraźniej uchodzi za szczyt elegancji. Tyle że u Turkana dotyczy to całych uszu i tylko u kobiet, zaś u Samburu i Masajów tylko dolnych części uszu i dotyczy również mężczyzn.

LUD BIAŁYCH KÓZ

...czyli Loibor Kineji. Tak dawniej nazywano Samburu. Obecnie plemię liczy 100 tysięcy ludzi i należy do grupy językowej *maa*.





FOT. DORUSZ MAJOWSKI

ZANIEDBANA HISTORIA

Ale wróćmy do prawdziwych Suahili. Oczywiście, dziś fascynuje to, co pozostało, a nie to, dzięki czemu niegdyś było świetnością. Wybrzeże zawdzięczało swój gospodarczy rozkwit handlowi niewolnikami, łapanymi w głębi kraju. Cała gospodarka oparta była do tego stopnia na niewolnictwie, że kiedy Brytyjczycy skutecznie zabronili handlu nimi, świat Suahili upadł. Jeszcze w ramach dekolonizacji wybrzeże usiłowało wrócić do korzeni i ogłosić niepodległość, jednak młode państwo kenijskie nie pozwoliło na to, zapewniając sobie jednocześnie wyjście na ocean. Symbolizuje to jeden z największych portów w Afryce – Mombasa.

Niestety, nawet w Mombasie nie znalazłem poszukiwanej książki. Ani nikogo, kto by ową książkę znał. Historia w ogóle wydaje się tutaj jedną z pięć achillesowych. Turystów przyciąga się sukcesywną renowacją imponującego starego miasta, które zachwyca orientálną architekturą suahilijską z charakterystycznymi bogato rzeźbionymi drzwiami. Z drugiej jednak strony, nie można tam znaleźć żadnej publikacji czy broszury, która pozwoliłaby bliżej poznać remontowane budynki i zrozumieć więcej z tego, co przekazują kamienie.

To samo powtarza się w innych miejscach, jak w bajecznym Lamu – położonym na wyspie, średniowiecznym mieście-państwie (dawny świat Suahili funkcjonował podobnie do starogreckich polis). Nie ma tam transportu kołowego i cały ruch do dzisiaj odbywa się na osłach. Profesjonalnej informacji brak na całym kenijskim wybrzeżu, mimo fascynujących miast-widm, które przed wiekami stanowiły centra handlowe i kulturalne, a potem obróciły się w zamieszkałe przez małpy i zarośnięte drzewami ruiny.

W Mombasie, która jest nie tylko centrum handlowym, ale i naukowym, brak specjalistycznej literatury nawet w okolicy Fort Jesus. To wybudowana przez Portugalczyków pod koniec XVI wieku monumentalna cytadela, wsunięta w ocean. Budowla prawie nie do zdobycia padła jednak w sto lat później pod naporem atakujących sułtanów, a być może także i malarii.



FOT. SHUTTERSTOCK

NADBRZEŻNA CYWILIZACJA

Miasteczko portowe Lamu niedaleko granicy z Somalią to jeden z najlepiej zachowanych przykładów architektury Suahili. Mieszają się w niej wpływy arabskie, hinduskie, portugalskie i brytyjskie.

SZKUTNICY BEZ GWOŹDZI

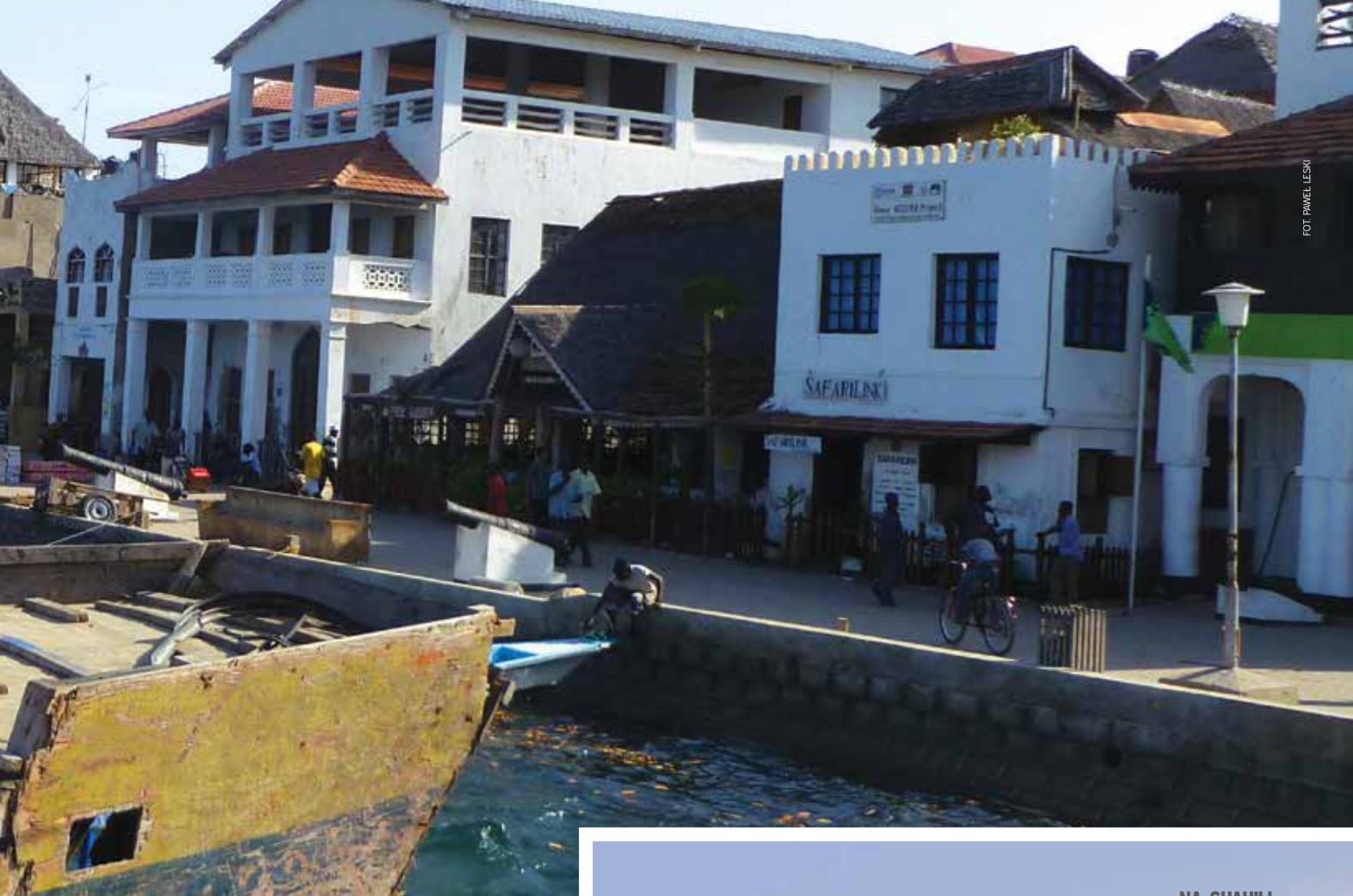
Pierwszymi Europejczykami byli tu Portugalczycy. W lipcu 1497 roku Vasco da Gama wylądował ze swoimi marynarzami w dzisiejszym Malindi. Niewielki pomnik upamiętnia miejsce, w którym zdecydował się przybić do brzegu i gdzie nawiązał przyjazne relacje z sultanem Malindi. Już w następnym wieku portugalskie wyprawy były mniej przyjazne i doprowadziły do podporządkowania im regionu.

Portugalczycy utrzymali się do początku XVIII wieku. Następnymi Europejczykami byli Brytyjczycy i rywalizujący z nimi Niemcy. Ale miejscowa kultura nadal się rozwijała. Choć „złotym wiekiem” nazywa się tutaj, podobnie jak w I Rzeczypospolitej, wiek XVI, to niepodległe państwa-miasta istniały jeszcze w XIX wieku i wchodziły z Europejczykami w taktyczne sojusze, niekiedy zwalczając się nawzajem.

W równej mierze, jak na handlu niewolnikami, kultura Suahili opierała się na żegl-

dze. Miejscowi cieśle budowali niezłej klasy żaglowce. Cywilizacyjna mieszanka zwiększyła zasięg podróży marynarzy, którzy do przybycia Europejczyków nie używali w produkcji statków gwoździ, gdyż – jak wierzą – gdzieś na Oceanie Indyjskim znajdowała się magnetyczna góra, która mogła powyciągać je ze statku.

Tradycyjne jachty buduje się nadal, choć nie sprawdzałem, czy nie ma w nich gwoździ. Udało mi się nawet odwiedzić prywatną przydomową „stocznię” na jednej z wysp. Po dłuższej podróży na osle dojechaliśmy do zatoczki, przy której stała zagroda gospodarza, parającego się zarówno budową od podstaw, jak i remontami jachtów – od małych zatokowych po spore pełnomorskie. Podobno można nimi przepłynąć ocean. Narzędzia używane przez owego stoczniońca najbardziej przypominały jakieś patyki i sznurki, ale patrząc na efekty jego pracy, należałoby wysłać do niego na przeszkolenie samego MacGyvera.

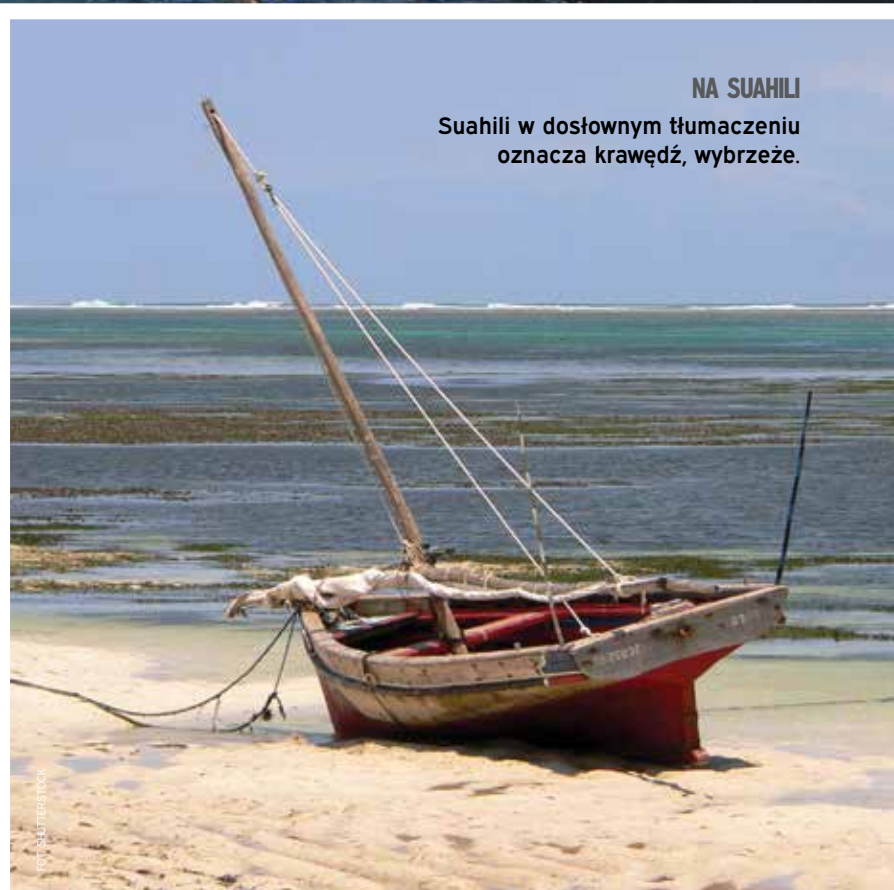


FOT. PAWEŁ LESKI

OSIOŁ A WIARA W CZŁOWIEKA

Kenia masowej turystyki to plaże i safari, a także wspomniane już wioski Masajów, gdzie zapewne niedługo nawet tradycyjne stroje będą *made in China*. Dla podróżnika mniej folderowego brakuje oferty. Dodatkowo sprawę komplikuje bezpieczeństwo osób, które niespecjalnie mają ochotę podróżować od hotelu do hotelu luksusowymi autokarami pełnymi ochroniarzy. W wielu miejscach naprawdę należy uważać, a chodzenie ulicami stolicy po zmroku to proszenie się o kłopoty. Mam na myśli bandytów, a nie tylko oszustów, od których zresztą ciężko się odgonić.

Raz dałem się naciąć w sposób przechodzący wszelkie wyobrażenia. Zafrasowany miejscowy zaczął mnie na ulicy, twierdząc, że ma chore dziecko, lecz nie ma pieniędzy na lekarza. Zaproponowałem wspólne pójście na nocny dyżur do pobliskiego szpitala. Dogadałem się z lekarzem, któremu zaufałem (to



FOT. PAWEŁ LESKI

NA SUAHILI

Suahili w dosłownym tłumaczeniu oznacza krawędź, wybrzeże.



ZNIKNĘLI BEZ ŚLADU

Tajemnicze ruiny Gedi położone w dżungli na wschodnim wybrzeżu Kenii to pozostałości wielkiego handlowego arabskiego miasta z IX wieku. Swój rozkwit przeżywało w średniowieczu. Nikt nie wie, dlaczego w XVII wieku zostało opuszczone.

był błąd!) i zaczekałem, aż „biedny” przyjdzie z dzieckiem. Przyszedł. Lekarz nie zbadał, ale postawił poważną diagnozę z drogami lekar-

stwami. Apteka była czynna dopiero rano, więc pieniądze, o naiwny, zostawiłem lekarzowi... Lepiej być frajerem niż świnią – pocieszałem się – ale chwilowo miałem dość kontaktów z okoliczną ludnością.

W następnym dniu znalazłem jednak antidotum na niechęć do bliźnich, kiedy zaszedłem do szpitala dla... osłów. Była nim już pierwsza rozmowa z jego szefową, miejscową panią weterynarz, od której konował z nocnego dyżuru powinien uczyć się etyki. Wstępny kurs mycia i opatrywania ran pacjentom kliniki wzmógł też moją sympatię do tych wyjątkowo inteligentnych i miłych zwierząt.

Po pani weterynarz przyszły rozmowy z pracownikami i jej rodziną. I znów nikt nie chciał ode mnie wyłudzić pieniędzy! A potem było spotkanie z M. – młodym chłopakiem o zaraźliwym optymizmem, pracującym ciężko przy obsłudze zwierząt. Opowiedział mi o swojej ciekawej pracy, a także o narzeczonej, z którą weźmie ślub, jak tylko skończy ona szkołę w Mombasie. To przykład jednego z tych, którzy są dziś przyszłością Kenii. ○



OSTATNIA ISKRA

Już niedługo umiejętność krzesania ognia będzie zbędna. Rozrost parków narodowych sprawia, że koczowniczo żyjąca ludność przenosi się do miast.





FOT. MACEJ MOSKWA / TESTIGO DOCUMENTARY



Maciej Moskwa

Szyicka

KREW

dla Imama



FOT. MACIEJ WOSKWA / TESTO DOCUMENTARY

**POD SZTANDAREM IMAMA**

Podczas Aszury w Nabatieh domy i samochody przyozdabiane są proporcami i flagami.

Na schodach obok straganów siedzą starsi mężczyźni. Zapatrzeni przed siebie chłoną dźwięki kazania. Dwieście metrów dalej zbierają się młodzi. Ustawieni w kolejce, cierpliwie czekają w milczeniu. W dłoniach ściskają małe brzytwy, noże, krótkie miecze.

W sklepie, w którym na co dzień sprzedaje się materiały na koszule, spodnie i marynarki, wystawiono nowe produkty. W wąskim przejściu ułożono kartony z proporcami, płytami CD i czymś, co wygląda jak małe okrągłe mydełko. Te szarobrązowe przedmioty uformowane zostały w medaliony

z wytłoczonym napisem „Karbala”. To ziemia przywieziona z Iraku. Sprzedawca, intonując dźwięcznie nazwę, prezentuje jeden z kawałków, przyciskając go do czoła. W jego żarliwym spojrzeniu widać potrzebę wytłumaczenia, czym on jest. To bardzo ważna dla szyitów ziemia, zaś Karbala to nazwa-symbol.

WIERZĄCY BRZYTWY SIĘ CHWYTA

Idąc ulicą w stronę głównego meczetu, wyraźnie czuć zapach gotowanej kukurydzy. Miesza się on z całą gamą innych woni atakujących nozdrza: zapachem samochodowych spalin, mięsa, tłuszczu ze stoiska z kebabami i gotowanego bobu. Najprzyjemniejszy jest aromat brazylijskiej kawy i świeżego pieczywa.

W libańskim mieście Nabatieh różnorodność zapachów konkuruje z kolorami. Gdyby wskazać dominujące wkoło barwy, byłyby to: czarna, biała, zielona i czerwona. Czarne są paszminowe szale kobiet, ich płaszcze i okrycia głowy. Czarne są okulary rozglądających się wkoło mężczyzn, ich spodnie i koszule. Białą jest kolorem występującym rzadziej i rzuca się w oczy tylko na tle czarnych flag porozwieszanych nad głowami przechodniów. Czerwony i zielony są dodatkiem do tych flag.

Na kolorowych kawałkach materiału zwisających z budynków widnieją arabskie napisy. Przyozdabiają one portrety mężczyzn w zbrojach, na białych koniach, przy czym „krwawa” czcionka powtarza się z zauważalną regularnością. Z głośników, wystawionych przed sklepami i kramami albo zamontowanych na przejeżdżających furgonetkach, płynie litania imion – Hussajn, Hassan, Ali... Wybijającym się ponad wszystko dźwiękiem jest jednak odgłos ostrza przesuwanego po osetce.

Za plecami mężczyzny zajmującego się ostrzeniem znajduje się witryna zakładu fryzjerskiego. Wystarczy wetknąć głowę mię-

dzy tłoczących się interesantów, by odkryć, że i tutaj praca idzie pełną parą. Na każdą brzytwę potrzeba około minuty, a następnie przeprowadza się test polegający na przyciśnięciu naostrzonej krawędzi do nadgarstka. Wprawne oko ocenia, czy ślad pozostawiony na powierzchni skóry jest wystarczająco wyraźny. Niektóre ostrza potrzebują więcej pociągnięć, dopiero wtedy są gotowe do użycia w rytuale Tatbir. Ich właściciele przejdą ulicami Nabatieh w procesji oplakującej męczeńską śmierć Imama Hussajna. Przy akompaniamencie bębnów będą nacinać swoje głowy, krwawiąc obficie w misterium na cześć patrona szytów.



FOT. MACIEJ MOŚKWA / TESTIGO DOCUMENTARY

KRZYWDA IMAMA ALEGO

W VII w. Półwysep Arabski opanowuje nowy żywioł – islam. Wkrótce po śmierci proroka nowej monoteistycznej religii – Muhammada (imię Mahomet wywodzi się z łaciny i przez muzułmanów uważane jest za niepoprawne) wśród jej wyznawców wybucha konflikt o sukcesję. W wyniku tej rywalizacji w 680 roku dochodzi do bitwy dzielącej świat islamu na dwa główne nurty, z których w przyszłości wyłonią się kolejne odłamy. Pokłosiem

POCHÓD SMUTKU

Procesja kobiet intonujących żałobne pieśni Latmiyya.



FOT. MACE / POKSWA / TESTICO DOCLIVARY

NA PAMIĄTKĘ RZEZI

Dziewczynka niesie lalkę symbolizującą najmłodszą ofiarę bitwy pod Karbalą, Alego al-Asghara - syna Hussajna.

bitwy pod Karbalą są narodziny nurtu szyickiego, a poległy w niej wnuk proroka Muhammada – Imam Hussajn ibn Ali staje się symbolem dla milionów wyznawców Allaha.

Szyici nie uznają trzech pierwszych kalifów sprawujących władzę po Muhammadzie. Sukcesję przyznają natomiast kuzynowi proroka, który był równocześnie mężem Fatimy, córki Muhammada i jego pierwszej żony Khadiji. Jednak synowie Alego, którzy według szyitów powinni zostać kalifami, nie otrzymali tytułów następcy Muhammada. Rozpoczął się więc konflikt – intryga połączona z przekupstwem, oszustwami i w końcu przemocą, prowadzącą do rzezi pod Karbalą. Wydarzenia te do dziś są wspomniane przez szyitów na całym świecie, zaś Aszura, kiedy to opłakuje się poległego w bitwie Hussajna, jest najważniejszym dla nich świętem.

Spektakularność obchodów Aszury związana jest z tradycjami, które budzą kontrowersje. W szczególności chodzi o rytuał Tatbir, polegający na okaleczaniu się, doprowadzaniu do krwotoków, biczowaniu i uderzaniu w pierś, intonując religijne pieśni. Wszystkie te elementy są częścią misterium męki Imama Hussajna.

Opinie na temat tych praktyk są podzielone, nawet wśród szyitów. Ajatollah Fadhil Lankarani mówi, że: „Konieczne jest

zachowywanie się podczas obchodów (...) w taki sposób, który przyciąga ludzi do Imama Hussajna i jego celów. Zalecane jest więc opowiadanie historii Aszury, płacz, uderzanie się w piersi i ceremonie żałobne przypominające i ożywiające te historyczne wydarzenia. Jeśli chodzi jednak o zadawanie sobie ran ostrzami, które nie ma żadnej racjonalnej podstawy, ukazuje to islam w negatywnym świetle i dlatego konieczne jest, by szyici podążający za szkołą Imama Hussajna unikali tego”. Nie jest to odosobnione stanowisko, bo również dziesiątki innych duchownych wskazują, że praktykowanie Tatbir wypacza obraz szyickiej wiary.

KREW, KREW W IMIĘ MĘCZENNİKÓW...

Nabatieh już na dzień przed głównymi obchodami Aszury jest zatłoczone i wszędzie widać gorączkowe przygotowania do nadchodzących ceremonii. Przyglądając się wszechobecnym straganom z brzytwami, nożami i mieczami, łatwo się domyślić, że Tatbir będzie ważną częścią obchodów. W mieście każdy jest dobrze poinformowany o programie zbliżającego się święta. Wkoło areny w centrum miasta zbierają się całe rodziny, podziwiając między innymi wspaniałe konie, które wezmą udział



FOT. MAŁEJ MOSKWA / TESTICO DOCUMENTARY

NA CZĘŚĆ LWA

Podczas rytuału Tatbir mężczyźni wykrzykują „Haidar”, co znaczy „lew”. Jest to przydomek Alego.

w rekonstrukcji bitwy. W okolicy postaju tak-sówek mężczyźni popalają nargile (tradycyjne fajki wodne, popularne na Bliskim Wschodzie), obserwując wzniesione nieopodal planse z namalowaną pustynią, które mają służyć za tło inscenizacji.

Minęło południe i tłum zebrany pomiędzy dwoma meczetami przygotowuje się do rozpoczęcia pierwszej procesji. Po obu stronach ulicy uformował się pod ścianami budynków kordon gapiów. Co kilkadziesiąt metrów spotyka się wolontariuszy i sanitariuszy, którzy mają zabezpieczać pochód. Ciastka, kartoniki z pomarańczowym i ananasowym sokiem, butelki z wodą – tym będą częstowani uczestnicy Aszury.

Tymczasem formuje się szyk, który przejdzie przez miasto. Nad głowami powiewają flagi i sztandary. Ze wszystkich stron do uszu docierają dźwięki latmiyyi – religijnych pieśni, okraszonych głośnymi basami, w rytm których rozpocznie się uderzanie w piersi i samookaleczanie. To już ostatnie momenty przed rozpoczęciem procesji, chwila na poprawienie strojów i zaciągnięcie się papierosem.

W końcu karawana żałobników rusza przed siebie. Oto skład podstawowy pochodu: ciężarówka z głośnikami, trumnami i figurami męczenników; duchowni w nobliwych szatach; dzieci niosące instrumenty, flagi i miecze; jeźdźcy na spoconych koniach; biczownicy z łańcuchami, mieczami i brzytwami oraz czarna ściana kobiet ukrytych pod smolistymi hidżabami – wszyscy oni otoczeni zewsząd gęstwą gapiów.

OKALECZONA PROCESJA

Uczestnicy marszu poświęconego poległemu Hussajnowi nacinają sobie skórę głowy.



FOT. MAŁEJ MOSKWA / TESTICO DOCUMENTARY



FOT. MACEJ MOSKWA / TESTIGO DOCUMENTARY

Po kilkunastu minutach na czele pochodu pojawia się dwóch mężczyzn z mieczami w dłoniach. Na białych szatach, w które są ubrani, widać coraz więcej krwi. Cieknie strugami z rozciętych głów. Wokół przesuwa się grupa pątników z łańcuchami. Okładają plecy w rytmie dyktowanym przez bębniarzy. Pochód regularnie intonuje imiona Hassana, Hussajna i Alego. Wykrzykiwany jest wyraz „haidar” – to przydomek Alego oznaczający lwa. Krwi jest coraz więcej. Z naprzeciwka nadbiega grupa intensywnie krwawiących mężczyzn. Niektórzy wciąż nacinają skórę głowy ostrzami brzytw. „Haidar, haidar, haidar! Hussajn, Hussajn, Hussajn!” Krople krwi wirują w powietrzu, opadając na szary asfalt i sine tatuaże szyitów. Słońce odbija się w ich zakrwawionych obliczach, a dłonie odruchowo opadają na serce, żeby po chwili wznieść się w powietrze przy akompaniamencie latniymi.

WSZYSTKIEGO PILNUJE HEZBOLLAH

W tłumie stoi Allen, który przyjechał do Nabatieh odwiedzić babcię i wziąć udział w Aszurze. Na co dzień mieszka w Stanach

Zjednoczonych, ale co roku wraca do Libanu. Zaciąga się marlboro i chętnie opowiada o Imamie Hussajnie. Spytany o Tatbir i kontrowersyjną stronę tych praktyk, tłumaczy, że w wyniku tych ran nikt nie cierpi. On sam natnie sobie jutro głowę, ale – jak mówi – nie poczuje bólu, tylko radość. W ten sposób uczci śmierć duchowego ojca szyitów. Nieznacznie rozwierając palce, pokazuje, jak mało cierpienia doznają uczestnicy Aszury w porównaniu z tym, czego doświadczył Hussajn.

Zapytany o pokazywanie krwawej strony święta w mediach oraz obecność zaciekawionych obcokrajowców, wyjaśnia, że w Nabatieh nikt nie ma z tym problemu. Gdyby nie chcieli tu gościć, to po prostu by ich nie było. – *Wszystkiego pilnuje Hezbollah, to są ludzie o dobrych sercach* – wskazuje ręką na otaczający tłum. – *Najlepsi jakich znam.*

Wieczorem Allen odwiedzi meczet, rozpocznie całonocne oplakiwanie imama. Nie pójdzie spać, będzie czuć tak, jak czuwałi towarzysze Hussajna, tam w Iraku, na piaskach Karbali – podobnie, jak dziś czynią to miliony szyitów, rozsianych po całym świecie. Dla nich „każdy dzień to Aszura, a każda ziemia to Karbala”. ◉



ELIOS

Trwała ochrona,
teraz z klimatyzacją



www.petzl.com/ELIOS



ŻYCIE W TUNDRZE

Do księgarń trafiła właśnie książka Wydawnictwa PWN „Dobra krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi” to osobista relacja z wyprawy „na koniec ziemi”. W podróż na Jamał wybrała się Magdalena Skopek, doktor fizyki, pasjonatka fotografii. Dotarła tam do Nieńców – oddalonego od cywilizacji, koczowniczego ludu trudniącego się polowaniem i hodowlą reniferów. Otrzymała nienieckie imię Mjagnie i przez dwa miesiące żyła i przemieszczała się z rodziną Akatteto. Powoziła zaprzęgiem reniferów, wyprawiała skóry, robiła nici ze ściągien, jadła surowe mięso, spała w czumie, gotowała i odwiedzała święte miejsca.

Jej życie w północnosyberyjskiej tundrze okazało się surową i fascynującą przygodą, z której przywiozła debiutancką książkę i zdjęcia – obrazy zupełnie nieznanego świata i ludzi żyjących w zgodzie z rytmem przyrody.

Magdalena Skopek od kilku lat odkrywa miejsca i ludy, o których niewiele w ogóle słyszało. Za odbycie samotnej wyprawy do Nieńców na syberyjski półwysep Jamał otrzymała prestiżową nagrodę KOŁOS 2010 w kategorii podróże podczas Ogólnopolskich Spotkań Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów w Gdyni. Swoją wyprawę opisała też na łamach miesięcznika *Poznaj Świat*.



DNI DYNI

14 października w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Wrocławskiego odbędzie się IX Dolnośląski Festiwal Dyni, w ramach którego organizowane będą liczne konkursy, m.in. na największą dynię i najsmaczniejszą potrawę z tego warzywa.

Więcej na:
www.biol.uni.wroc.pl/obuwr/festiwal



FESTIWAL ŚWIATŁA

To jedno z największych i najlepiej znanych tego typu wydarzeń na świecie. W ciągu 12 nocy, między 10 a 21 października, największe berlińskie zabytki, stare budynki, ulice i wiele innych miejsc przemienią się niemalże w świątynie światła. Iluminacje, projekcje i pokazy sztucznych ognii sprawiają, że nad Berlinem nie nastanie noc. Na gości, którzy przybędą do stolicy Niemiec, będą czekać również imprezy towarzyszące, jak „Jazz w ogrodach ministerskich” czy niedzielna wyprzedaż w galeriach handlowych.

www.festival-of-lights.de



W połowie października Marcin Jank i Jacek Tenderenda wyruszą na podbój północno-wschodniej Islandii. Ich głównym celem jest zdobycie wulkanów Askja (1510 m n.p.m.) i Hardubreid (1682 m n.p.m.). Kolejnymi punktami wyprawy będą jaskinie lodowe Kverkfjöll oraz lodowiec Vatnajökull, który ma wysokość ponad 2000 m. Chcą też dotrzeć do jednego z najbogatszych w energię wodosпадów Europy – Dettifoss. Przez 2 tygodnie planują przejść trasę około 350 km.

www.wyprawy.zkompasem.pl



MEDIATRAVEL

MEDIALNY FESTIWAL

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

Od 23 do 27 października w Łodzi odbędzie się organizowany od 2001 roku Festiwal Cywilizacji i Sztuki Mediów, Odkrywców i Podróżników MEDIA-TRAVEL. Uczestnicy będą mieli możliwość zapoznania się z polskim i światowym dorobkiem podróżniczym w różnych mediach. Festiwal to także spotkania ze znanymi podróżnikami, dokumentalistami i uczestnikami ekspedycji w najdalsze zakątki świata. Twórcy rywalizują o Nagrodę World Mediatravel w kategoriach: film, program TV, audycja radiowa, artykuł prasowy, internet oraz fotografia. Ponadto od 2011 roku przyznawane są nagrody w kategorii wyprawa roku ELDO-RADO AWARD im. Stanisława Szwarc-Bronikowskiego, honorujące najbardziej znamienne wyprawy.

Szczegóły na: www.mediatravel.pl

Rowerem przez Ameryki

Polecieć na drugi koniec świata, aby męczyć się długą jazdą na rowerze i żywić się kolejnymi porcjami makaronu... z makaronem? Pedałować wiele dni przez zaśnieżone góry Alaski, czujnie rozglądając się za głodnymi niedźwiedziami? I w dodatku robić to za własne pieniądze? Dla większości to czyste szaleństwo, ale na szczęście nie dla Piotra Strzeżysza.

Autor zadziwia swoim zapałem, energią i żelazną konsekwencją w dążeniu do celu. Jest osobą emanującą otwartością na wszelkie przygody. Tym razem postanowił wyruszyć do obu Ameryk, a plonem tych wypraw jest książka, w której opisuje, co przeżył, kogo spotkał na swojej drodze i dlaczego w życiu rowerzysty tak ważny jest tytułowy makaron.



PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

E-xpedycja asów marketingu



PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

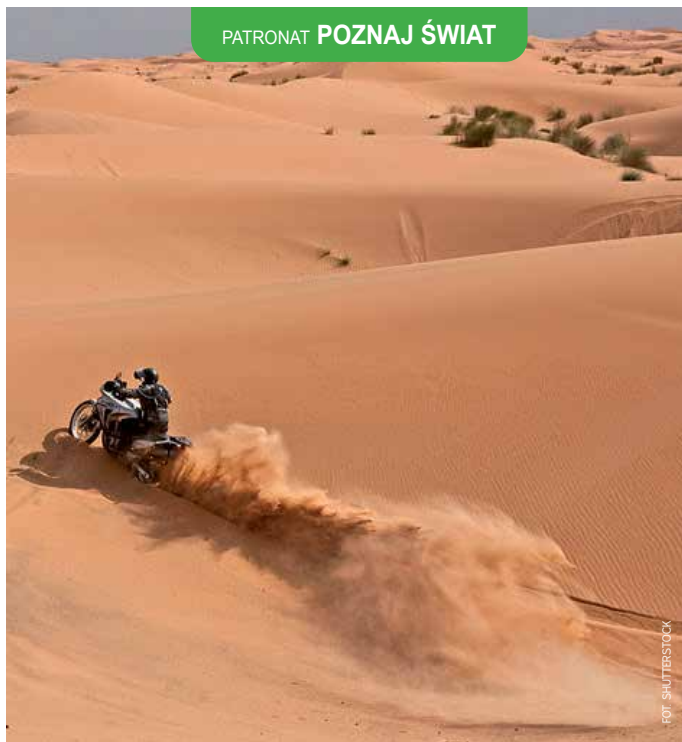
Grupa studentów SGH wygrała jeden z największych konkursów studenckich na świecie – Google Online Marketing Challenge (GOMC) 2012. Piotr Wawrysiuk, Aneta Maliszewska, Łukasz Kanownik, Kamil Borkowski oraz Joanna Sakowska pokonali ponad 11 tysięcy uczestników z 86 krajów. W ramach nagrody wylatują do Kalifornii, by zwiedzić między innymi siedzibę Google w Mountain View. Siedmiodniowy pobyt zapewniany przez Google chcą wydłużyć do półtora miesiąca, by podróżować po USA. Podczas wyprawy będą szukać rozwiązań marketingowych, które mogłyby być przeniesione na polski grunt. Podróż ma również stanowić zachętę dla polskich studentów do brania udziału w międzynarodowych konkursach akademickich.

www.e-xpedycja.pl

WAGADUGU 2012

21 października dwaj motocykliści, Ernest Józwik i Marek Remiszewski, rozpoczną podróż na motocyklach przez bezdroża Afryki Zachodniej aż do Wagadugu w Burkina Faso. Do przejechania mają 20 000 kilometrów. Po drodze chcą zdobyć najwyższy szczyt Atlasu Wysokiego, Maroka i Afryki Północnej, czyli Dżabal Tubkal (4167 m n.p.m.). Podróż ma potrwać miesiąc, a może dłużej...

www.wagadugu2012.pl



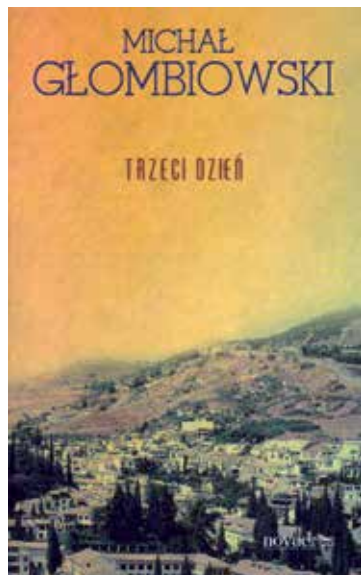
PODRÓŻ JAKO REFLEKSJA

„Trzeci dzień” to niezwykła opowieść o byciu w drodze. Para bohaterów wyrusza w wielomiesięczną podróż samochodem przez zakątki Hiszpanii i Maroka.

Odviszając niewielkie wsie oraz duże miasta, poznają życie pełne pasjonujących drobiazgów – zapachów, barw, dźwięków – składających się na obraz kultury śródziemnomorskiej. Historie spotkanych po drodze ludzi skłaniają do refleksji nad wartością czasu, przemijaniem i znaczeniem powtarzających się codziennych czynności.

To opowieść o niespiesznym pokonywaniu kolejnych kilometrów, które jest

czymś więcej niż turystyczną wycieczką – jest próbą spojrzenia na życie z dystansu, okazją do zamysłu nad fascynującą wielokulturowością świata, a także sposobem na czerpanie z życia pełnymi garściami. To książka dla wszystkich, którzy chcą poznać, co czuje torero, wchodząc wraz z bykiem na arenę; sprawdzić, co kryje porzucona na ulicy puszka konserw i dowiedzieć się, dlaczego w marokańskiej pustynnej miejscowości noc zastąpiła dzień.



PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

20 października br. odbędzie się 1. edycja festiwalu „Norwegia. Łowcy przygód”. O swoich norweskich przygodach opowiedzą doświadczeni podróżnicy, którzy ulegli magii Północy. W jej przepięknych i dynamicznych krajobrazach z jednej strony szukali ciszy i ukojenia, a z drugiej postanowili – niczym średniowieczni wikingowie – wyzwać naturę na symboliczny pojedynek. Takiego pojedynku podjęli się, pokonując samotnie Norwegię na rowerze i docierając do Przylądka Pół-



nocnego, opływając fiordy kajakiem, nurkując w zimnych wodach Morza Norweskiego, zdobywając najwyższy szczyt Spitsbergenu, wędrując przez ostępy norweskiej tundry oraz przemierzając rejony arktyczne na nartach.

Na festiwal zapraszamy do kina Luna w Warszawie, w sobotę 20 października w godzinach 11.00-20.30.

Strona festiwalu:
www.festiwalnorweski.pl

I Festiwal Przygody



PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

Festiwal Przygody WANOGA w Wejherowie

W pierwszy weekend października, położone na skraju aglomeracji trójmiejskiej Wejherowo stanie się celem wszystkich żądnych przygody. Zjadą się tam eksploratorzy i podróżnicy, alpinści i grotolazi, żeglarze i kajakarze, gawędziarze i ich słuchacze, a także ludzie aktywni, poszukujący ciekawych form spędzania czasu.

Głównym celem festiwalu będzie propagowanie kreatywnych form podróżowania. Nie zabraknie slajdów, filmów, opowieści i relacji, które wypełnią sale Wejherowskiego Centrum Kultury. Wśród gości znajdą się ludzie oryginalni, ciekawi, często bardzo znani. Ludzie, którzy opowiedzą nie tylko o dalekich krainach, ale i o sile ducha, woli walki, chęci odkrywania i zdobywania...

Nazwa imprezy – Wanoga – nawiązuje do kaszubskiego słowa oznaczającego wycieczkę, podróż lub wędrówkę. Na gości festiwalu czekać będzie wiele atrakcji pozwalających poznać piękno regionu, m.in. spływ kajakowy rzeką Redą, rowerowy rajd na orientację, rajd Nordic Walking, gra miejska i zajęcia na ścianie wspinaczkowej.

Wśród tegorocznych prelegentów znajdują się między innymi: Monika Witkowska - żeglarka, która opowie o swoim rejsie po akwenach arktycznych, Aleksander Doba - który przepłynął kajakiem przez Atlantyk, Piotr Kuryło - laureat prestiżowej nagrody Kolosy za obiegnięcie dookoła kuli ziemskiej oraz Piotr Pustelnik - zdobywca Korony Himalajów.

Więcej na:
www.wanoga.pl



FENIX

to jasne, że masz swobodę działania

- ♦ zwarta i wytrzymała konstrukcja
- ♦ dwa źródła światła (białe i czerwone)
- ♦ standard wodoodporności IPX-6
- ♦ dwa elastyczne i oddychające paski
- ♦ wychylna głowica

TRYB ALARMOWY SOS	SIŁA ŚWIATŁA 200 lm	ZASIĘG 40 m	WODOSZCZELNOŚĆ 2 m	CZAS PRACY 140 godz.
----------------------	------------------------	----------------	-----------------------	-------------------------



LATARKA CZOŁOWA HL30

 kolba.pl

adres firmy PPHU Kolba
ul. Limanowskiego 65
42-506 Będzin

sprzedaż detaliczna tel.: 32 364 17 97
fax: 32 364 06 18
sklep@kolba.pl

sprzedaż hurtowa tel.: 32 364 06 17
fax: 32 364 06 18
hurt@kolba.pl

AFRYKA | Republika Środkowoafrykańska

Marcin Mińkowski

UPADŁE CESARSTWO IMPERATORA



Gdy francuscy komandosi biorący udział w operacji „Barrakuda”, mającej na celu obalenie imperatora, wtargnęli do luksusowej podmiejskiej willi, znaleźli w niej muzeum. Poświęcił je samemu sobie. W jednym z kredensów były diamenty i złote zegarki, a w jednej z lodówek – kilkadziesiąt poćwiartowanych ciał.



FOT. SHUTTERSTOCK / MARCIN WIKOWSKI



IMPERIALNA PARA

Jean-Bédel Bokassa ze swoją żoną Catherine.

Nawet na żołnierzach Legii Cudzoziemskiej lodówka Bokassy wywarła wrażenie. Choć stan ich ducha był i tak lepszy niż biesiadników, zaproszonych swego czasu na ucztę do imperatora, podczas której jako danie główne podano filet... z przywódcy opozycji.

Oto on. Jego Cesarska Mość Imperator, Cesarz Środkowej Afryki, Wielki Mistrz Międzynarodowego Bractwa Kolekcjonerów Znaczków Poczтовых, szatan i błazen, krwawy tyran i Król Maciuś I – Jean-Bédel Bokassa.

ZIEMIA OPUSZCZONA

Żeby oddać sprawiedliwość – wybrał sobie kiepski kraj do rządzenia. Trudno o bardziej zapomniany przez Boga i ludzi kawałek świata. Republika Środkowoafrykańska (wtedy Cesarstwo Środkowoafrykańskie) to pusta sawanna pokrywająca wzgórze. Tysiące kilometrów kwadratowych traw, zagajników, cza-

sem wijąca się rzeka, w której brodzą smętne marabuty. Nie ma dróg, osad i ludzi. Nawet zwierząt. Słonie, lwy, żyrafy, gepardy i wszystkie inne większe ssaki, dzięki żylce myśliwskiej i biznesowej Bokassy, zostały praktycznie wybite. Nastąpiło to podczas wielkich polowań, w których nader często brał udział inny znany myśliwy – wieloletni prezydent Francji, Valéry Giscard d'Estaing.

Co do ludzi, to w dużej części podzielili los zwierząt. Albo zginęli podczas wielu lat panującego bezprawia, albo uciekli, ratując życie przed gwałtami niezliczonych watah, które tytułując się zawsze „Narodowym Frontem Walki z Czymś lub o Coś” były zwykłymi bandami. Bała się ich, i do dziś boi, zarówno policja, jak i wojsko. Najgroźniejsza to osławiona Armia Oporu Pana pod przywództwem Josepha Kony'ego, która w ciągu ostatnich 5-8 lat porwała z terytorium republiki 30 tysięcy dzieci, część z nich zmuszając – przemocą i narkotykami – do walki w swoich szeregach.



Według raportu ONZ kilkanaście band opanowało dwie trzecie terytorium kraju, głównie jego wschód i północ. Z tych terenów uciekli już chyba wszyscy, nic się tam nie uprawia, a więc nawet bandyci nie bardzo mogą się wyżywić. Ten kawałek świata został opuszczony przez wszystkich, złych i dobrych. Po kilkudziesięciu latach bezprawia, na powierzchni porównywalnej z terytorium Polski ziele pustka. Jest tylko pierwotna sawanna. Dzika, otwarta przestrzeń, nietknięta ludzką ręką, zapomniana i fascynująca.

GORYLE, PIGMEJE I PRZERAŻONE SŁONIE

Rząd kontroluje obszar na południe od drogi do Kamerunu przez Bouar, a częściowo także na północ od niej. Tutaj żyje się w miarę spokojnie, między innymi dzięki niezliczonym blokadom na drogach, przy których jednak zawsze trzeba zapłacić łapówkę. Tylko ten teren Republiki Środkowoafrykańska wydaje się bezpieczny, a więc wart polecenia turystom.

Na południowo-zachodnim skraju państwa, u zbiegu granic z Kamerunem i Kongo, znajduje się największy i jeden z najciekawszych parków narodowych w całej Afryce: Dzanga-Sangha. Założony i przez długie lata zarządzany przez Niemców, dopiero niedawno przeszedł pod opiekę organizacji WWF,

która zatrudnia w nim wyłącznie Afrykanów. Park pokrywa rozległy las deszczowy, a łącząc się z parkami po stronie Konga i Kamerunu, tworzy jeden z największych i najlepiej zachowanych obszarów pierwotnej afrykańskiej puszczy.

Główną atrakcją stanowią goryle nizinne. Dzanga-Sangha to jedno z niewielu miejsc w Afryce, gdzie można je obserwować w naturalnym otoczeniu gęstej puszczy równiko-

SŁONIOPÓJ

W Parku Narodowym Dzanga-Sangha schronienie znalazły rzadkie gatunki, jak goryle nizinne i leśne słonie afrykańskie.



FOT. MAREK MIKOŁAJSKI

DZIECI LASU

Pigmeje najlepiej czują się w lasach. Niestety, zmusza się ich do osiedlania w domach na sawannie, gdzie trudno im się odnaleźć.



FOT. MAREK MIKOŁAJSKI

BIZNES NA RÓŻOWO

Nowa restauracja na przedmieściach stolicy. To jeden z nielicznych przejawów lokalnej przedsiębiorczości.

wej. Całą eskapadę organizuje park, dając przy tym do pomocy pigmejskiego przewodnika. Dodatkową atrakcją są rzadkie słonie leśne – nieco mniejsze od kuzynów z sawanny, ale za to z dłuższymi ciosami, co stanowiło i nadal stanowi ich przekleństwo. Słonie, nawet w Dzangha-Sangha, gdzie chroni się je skutecznie, są tak uczulone na odgłosy wystrzałów kojarzących się im z dawnymi polowaniami, że na jakikolwiek huk czy trzask reagują paniczną ucieczką.

No i oczywiście są tu legendarni Pigmeje, w Republice Środkowoafrykańskiej nazywani Ba'aka. To jedne z nielicznych na Ziemi, pierwotnych plemion myśliwych zbieraczy. Bantu, których większość Europejczyków utożsamia z prawdziwymi Afrykanami, traktują Pigmejów, nie tylko z racji wzrostu, ale też odmiennych rysów twarzy, jako niższych w rozwoju – formę przejściową między szympansem a człowiekiem. Nie dość więc, że niewolnictwo Pigmejów jest faktem, to na przykład wierzy się, że seks zakażonego HIV z Pigmejką chorobę tę uleczy.

Sami Ba'aka są przemiłymi, cichymi ludźmi, stroniącymi od obcych, ale niezmiernie uczynnymi i pogodnymi. Nie potrafią się jednak odnaleźć w sytuacji, w której zmusza się ich do opuszczania lasów i osiedlania na sawannie. Nie potrafią budować domów odpowiednich dla otwartych przestrzeni. Nie znają wartości pieniądza ani prawa własności. Dzieci natury. Ich czas się kończy. Osiedlani przymusowo, naturalizowani na siłę, tracą swą tożsamość. Ginią razem z lasami, w których żyją, wycinanymi rabunkowo przez szemrane firmy z Libanu czy Jemenu.

Większość turystów przylatuje do Bayangi, siedziby parku, awionetkami z Kamerunu. W porównaniu z 1000 USD wydanymi za sam lot opłaty parkowe (ok. 200 USD za kilka godzin podglądania goryli) nie wydają się wysokie. Zestawiając to z opłatami za oglądanie goryli górskich w parku Virunga w Rwandzie (dochodzącymi do 500 USD), ta przyjemność w Dzanga-Sangha wydaje się tania. Do Bayangi można się dostać także z Bangi, wypożyczając samochód terenowy lub wybrać transport „publiczny”. Taka podróż, zajmująca co najmniej dwa dni, jest wielką przygodą sama w sobie.

KOLEKCJE CESARZA BOKASSY

Republika Środkowoafrykańska jest krajem na wpół upadłym, ale trudno powiedzieć, że to wyłączna wina Jego Cesarskiej Mości. W kraju do lat 1960. nie było praktycznie lądowej łączności ze światem. Całość importu przychodziła z Kinszasy lub Brazzaville wielotygodniową trasą w górę rzeki Kongo, a potem Ubangi. Bokassa zbudował drogę do kameruńskiego portu Duala, co otworzyło kraj. Zbudował tamę na rzece w pobliżu Bangi, co zapewniło energię elektryczną dla miast. Zmienił stolicę z wielkiej drewnianej wioski w miasto mrowane. Na swoją czarną legendę zapracował sobie nie tym, co robił, lecz jak sprawował władzę...

Sprawował równocześnie i dożywotnio funkcje: prezydenta, ministra obrony, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, rolnictwa, zdrowia i... lotnictwa (co akurat, zważywszy liczebność floty powietrznej, nie musiało być absorbujące). Posiadał niezliczoną ilość pomniejszych tytułów, jak choćby wspomniany Wielki Mistrz Międzynarodowego Bractwa Kolekcjonerów Znaczków Poczтовых. Chętniej niż znaczki kolekcjonował kobiety. Najlepszym podarunkiem dla Bokassy w czasie jego podróży była kolejna piękność. A że podróżował intensywnie, ilość jego żon i kochanek była pokaźna. Co ciekawe, Afrykanki stanowiły mniejszość. Oprócz Gabonki (którą poznał w czasie ceremonii pożegnania w Libreville i z powodu której zawrócił samolot, aby poprosić ją o rękę), Kamerunki i Tu-



nezyjki, wśród jego oblubienic były na pewno: Rumunka, Szwedka, Belgijka, Chinka, Niemka i dwie Wietnamki.

Jako władca absolutny przyznał sobie prawo do panowania nad życiem i śmiercią obywateli. Przeciwników politycznych zapraszał do willi Merengo w pobliżu M'Baiki, gdzie rzucał ich do basenów pełnych krokodyli lub klatek z lwami. W 1979 roku dokonał masakry na dzieciach protestujących przeciwko przymusowi kupowania szkolnych mundurków z jego fabryki. To właśnie z tego powodu świat zwrócił uwagę na okropności dziejące się w RŚA. Francja, która w zamian za diamenty, drewno i możliwość polowania przez Giscarda d'Estaing na słonie, żyła w przyjaźni z Bokassą, zmuszona została do interwencji.

HEJ, BRACIE!

Mieszkańcy Bangi też potrafią zadać szyku.



FOT. MARCIN MIŃKOWSKI

BIG BANGI
Stolica Republiki Środkowoafrykańskiej jest również jej największym miastem, liczącym ponad pół miliona mieszkańców.



Marcin Mińkowski

– podróżnik, poszukiwacz rzeczy nieznanych, ciągle ciekawy, co jest za następnym zakrętem. Zwidził wiele rejonów świata, jednak największą jego miłością jest Afryka. Odbył od niej cztery podróże – każdą w inny rejon kontynentu. Ich podsumowaniem jest książka „Tam, gdzie nie ma coca-coli”. Na co dzień mieszka w Warszawie i pracuje w branży informatycznej.

KŁĘSKA I POWRÓT WIELKIEGO BUDOWNICZEGO

Megalomania Bokassy sięgnęła szczytu w jedenastym roku panowania. 7 grudnia 1977 roku ogłosił się cesarzem. Ceremonia koronacji była jednym z najbardziej absurdalnych wydarzeń, jakie widział kontynent. Za 20 mln USD, czyli jedną trzecią budżetu kraju, zostało wybudowane centrum koronacyjne. Sprowadzono konie i karety z Francji, oczywiście wraz z trenerami, bo nikt nie wiedział, jak zaprząć karetę ani jak powozić. Sprowadzono wystawne mundury, różowe pióra, białe rękawiczki i czerwone dywany. Walce

i marsze grała orkiestra prosto z Paryża. Wszyscy mieszkańcy Bangi musieli wziąć udział w paradzie. Przez centrum miasta, obok lichych afrykańskich domostw, jechał oddział konnicy, a za nim zaprzężona w szóstkę koni złocona karoca cesarza i cesarzowej. Cesarską koronę Bokassa na skronie włożył sobie sam.

Poza światą, obywatelami Bangi, orkiestrą oraz trenerami konnicy, na koronację nie przyjechał prawie nikt. To, że nie przyjechał żaden z liczących się przywódców światowych, było zrozumiałe, ale nie pojawił się też nikt z dyktatur zaprzyjaźnionych – Chin, Korei Północnej, Rumunii czy Iranu. Nie przyjechał żaden z ważniejszych przywódców afrykańskich – ani Hajle Sellasje, ani Idi Amin z Ugandy (równy w krwiożerczości Bokassie). Pomimo usilnych nalegań, na ceremonię nie przyjechał też przyjaciel d’Estaing. Został w domu hiszpański dyktator, gen. Franco, ale przysłał połączoną średniowieczną zbroję (która zresztą okazała się podróbką).

We wrześniu 1979 nastąpiła operacja obalenia imperatora, przeprowadzona przez francuskich komandosów. Bokassa zbiegł na Wybrzeże Kości Słoniowej, a potem do Francji, gdzie zgromadził znaczny majątek. Ku zaskoczeniu wszystkich w 1986 powrócił samolotem rejsowym do Bangi. Rozpoznany na lotnisku, został aresztowany i postawiony przed sądem, a następnie skazany na śmierć, którą potem zamieniono mu na dożywocie. Na mocy amnestii w 1993 wyszedł na wolność. Zmarł w Bangi trzy lata później.

W 2010 roku został całkowicie zrehabilitowany przez prezydenta Bozie, który nazwał go „Wielkim Budowniczym”. ○

Poznaj Świat

www.poznaj-swiat.pl

MIESIĘCZNIK

uzależnia
od czytania i podróży



JAK ZAMÓWIĆ?

www.poznaj-swiat.pl

Infolinia: +48 (58)3508464

e-mail: prenumerata@poznaj-swiat.pl

SMS: **535444980**, treść: imię i nazwisko + adres

Przelew: BRE BANK SA 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004, w tytule pełne dane adresowe + okres prenumeraty

Listownie: 80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17

roczna
prenumerata **99** zł
(12 egzemplarzy w cenie 10)

SERCE MIASTA

Centralny punkt stolicy wyznaczają: kompleks nowoczesnych wieżowców i meczet „Serce Groznego”.



nie taki
GROZNY
jak go malują

Julia Wizowska

Wjeżdżających do miasta wita makieta kuli ziemskiej na piedestale. Okala ją aureola z napisem „Grozny – centrum świata”. Wkraczamy do stolicy Czczeniai.

Temu, kto pamięta Czczeniai z doniesień prasowych na temat gorącego konfliktu na Północnym Kaukazie, kraj kojarzy się przede wszystkim z przemocą, gwałtem i torturami. Z wieloletnią wojną

toczoną bez pardonu. Ci, którzy znają uchodźców z tamtego rejonu świata, nieraz słyszeli o pozostawionych ruinach domów i grobach najbliższych. Resztę dopowiada wyobraźnia: zastępy żołnierzy pod bronią posuwające się



FOT. JULIA WIZOWSKA



FOT. JULIA WIZOWSKA

wśród ulicznych zgłiszcz oraz siły specjalne szykujące się do kolejnej akcji. Dlatego turysta udający się na Kaukaz omija Republikę Czecheńską szerokim łukiem. Ale... niemało przez to traci.

ŚWIĘTE PRAWA GOŚCINNOŚCI

Życie w Grozynie dalekie jest od ideału. Nadal nie jest bezpiecznie – dwa tygodnie przed naszym przyjazdem do stolicy Czechenii zamachowiec wysadził się w tłumie, zginęło kilku miejscowych policjantów. Są to jednak na ogół porachunki czecheńsko-czecheńskie bądź czecheńsko-rosyjskie. Tymczasem turysta, szczególnie zagraniczny, jest tu gościem, a gość dla kaukaskich narodów to świętość. W kraju, gdzie powiedzenie „Gość w dom –

Bóg w dom” nie jest zapowiedzią zdawkowej uprzejmości, lecz żywą tradycją – zaproszenie pod strzechę ledwie poznanych przybyszów z zagranicy to dla gospodarzy sprawa honoru.

Dawniej mieszkańcy Kaukazu udzielali schronienia każdemu – tułaczom, złodziejom, a nawet zbrodniarzom, którzy akurat potrzebowali pomocy. Pan domu był zobowiązany zapewnić gościowi bezpieczeństwo, nakarmić go, oczyścić jego odzienie i nie pytać, kiedy wyruszy w dalszą drogę. Jeżeli istniało zagrożenie – miał także bronić jego życia, nawet



NIECH SIĘ MURY PNĄ DO GÓRY

Jeszcze jeden nowy wieżowiec w kompleksie „Grozny City”.



FOT. JULIA WIZOWSKA

UŚMIECHNIJ SIĘ, JUTRO BĘDZIE LEPIEJ

Trzy Czeczenki i mały, uśmiechnięty chłopiec. Nie ma obok taty ani wujka. Kim dla malca są te kobiety w czerni? Jaki będzie jego dalszy los w kraju, który tyle przeszedł w swej historii? To niewinne zdjęcie nasuwa i takie pytania.

kosztem własnego. Zasada bezwzględnej gościnności przynosiła rodzinie gospodarzy sławę i podnosiła pozycję w społeczeństwie.

Ogromne znaczenie przypisywane gośczeniu przybyszów z daleka w kulturze kaukaskich górali nie wzięło się znikąd. Gość mógł być przecież potencjalnym mecenasem, biznesowym partnerem lub przyszłym krewnym. Kaukaz zna wiele historii o miłości przyjeźdnego młodzieńca i miejscowej dziewczyny. Tymczasowym członkiem rodziny – według tradycji – zostaje się już w chwili, gdy zasiądziemy z gospodarzem do wspólnej wieszery.

ŻYCIE I DOM CZECZENA BOGDANA

Poznajemy go przypadkowo. Jest dobrym przyjacielem naszego znajomego, z którym również zaprzyjaźniliśmy się przez przypadek.

– *Siadajcie przy stole, napijemy się herbaty. Prawdziwej, zaparzonej, nie żadnej tam w torebkach* – usłyszeliśmy od naszego młodego gospodarza, ledwie zdążywszy przekroczyć próg jego domu. Na stole pojawiły się ciastka i cukierki, a zapach świeżego czaju wypełnił

całe pomieszczenie. – *Żizig galmasz próbowaliście? Spodoba się. To czeczeńskie danie narodowe. Kluski z mięsem w bulionie czosnkowym. Zrobimy któregoś dnia, mamy przed sobą jeszcze dużo czasu* – te słowa rozpoczęły naszą dziesięciodniową gościnę w czeczeńskiej stolicy.

Chłopak nosi rzadkie, niespotykane na Kaukazie, imię. Śmieje się, tłumacząc, że to na cześć Chmielnickiego. Ponoć zdecydowała



FOT. JULIA WIZOWSKA



tak matka po lekturze powieści historycznej „jakiegoś Polaka”. Czy sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem” – Bogdan nie jest pewien.

Ma 24 lata i ciemne włosy. Mieszka sam na przedmieściach Groznego, w domu, który mu został po rodzicach. W oknach wiszą zakurzone firanki, a stare linoleum w kuchni całkiem się wytarło. W jednym z pokoiów kruszył się sufit. Dom nie był remontowany od śmierci rodziców. Bogdan jest najmłodszym z rodzeństwa, więc zgodnie ze zwyczajem to właśnie jemu przypadło sto metrów skrzypiącej podłogi pod przeciekającym dachem.

Tylko raz opuścił to rodzinne gniazdo. Było to w lutym 1995 roku. Miał wtedy osiem lat i musiał razem z rodziną uciekać z Groznego do wioski przodków przy granicy z Gruzją. Czeczenia od kilku miesięcy była ogarnięta wojną. Grozny kilka dni wcześniej zdobyły wojska rosyjskie. Do republiki, wchodzącej w skład Rosji, armia federalna wkroczyła w odpowiedzi na ogłoszenie przez Czeczenię niepodległości. Rozpoczął się konflikt zbrojny, który trwał – z jedną kilkuletnią przerwą – do 2009 roku. Z kuchni Bogdana widać niewielkie wzgórze. Podczas walk o Grozny oddzielało ono fede-

ralnych od zgrupowania czeczeńskich bojowników. Cud sprawił, że żadna zbłąkana kula nie trafiła w dom.

Centrum Groznego nie miało tyle szczęścia. Miejski pejzaż tworzyły same zgliszcza. Tymczasem dzisiejsze odbudowane miasto to prawie metropolia, która w niczym nie przypomina obrazów z dziecięcych koszmarów Bogdana.

CO JADACIE NA BIERKACIE?

Jadłodajnia na bazarze Bierkat. Menu widoczne na ladzie oraz na ścianie.



PUTIN ZAMIAST ZWYCIĘSTWA

Prospekt Putina, główna arteria Groznego, wcześniej nosiła nazwę Zwycięstwa.



TU KRÓLUJĄ INOMARKI

Na ulicach Groznego najmodniejsze są zagraniczne modele samochodów, czyli „inomarki”.

SERCE CZECZENII I PROSPEKT PUTINA

Główna ulica w Groznych przed wojną biegła od Pałacu Prezydenckiego i nosiła nazwę Prospektu Pobiedy (Zwycięstwa). Pałac i Prospekt wojny jednak nie przetrwały. W miejscu pierwszego stoi dziś meczet, zaś słowo „Pobieda” w nazwie Prospektu zastąpiło słowo „Putin”. To nazwisko człowieka, który czeczeńską niepodległość spacyfikował. Szeroka, gładka tafla asfaltu, podzielona na dwie części wyspą zieleni, ciągnie się przez całe centrum miasta. Po obu stronach jezdni widnieją podniesione

z ruin budynki. Nie ma śladu po pociskach. Na parterach mieszczą się nowoczesne butiki i kawiarnie.

Serce Czeczenii – meczet o tej nazwie, znajdujący się na miejscu przedwojennego Pałacu Prezydenckiego – zbudowany został przez tureckich inwestorów na podstawie tureckich projektów. Dlatego wygląda jak „kieszonkowa” wersja Błękitnego Meczetu w Stambule. W parku wokół świątyni w ciągu dnia spacerują rodziny, a dzieci pluskają się w fontannie. W piątki jednak dostanie się do meczetu graniczy z cudem. Cały teren wokół odcięty



jest kordonem policji, jednostek specjalnych i młodych ochotników wpuszczających do środka tylko te osoby, które pomyślnie przejdą test na bezpieczeństwo. W piątkowe popołudnia bowiem do „Serca Czeczenii” przybywa na modły Ramzan Kadyrow, prezydent Republiki Czeczeńskiej. W muzułmańskiej Czeczenii, mimo że republika formalnie wchodzi w skład świeckiej Federacji Rosyjskiej, piątek jest dniem świątecznym.

Azerscy inwestorzy upatrzili sobie wolny plac na tyłach meczetu. Na nim w ciągu dwóch lat wybudowali: dwa wieżowce trzydziści-

trów i jeden czterdziestopięciopiętrowy, dwa domy po osiemnaście pięter, luksusowy hotel, centrum biznesowe z lądowiskiem dla helikopterów na dachu oraz dwukondygnacyjnym parkingiem podziemnym. Dzielnicę nowoczesnych biurowców nazwano „Grozny City”. Swoim przepychem gmachy mają wynagrodzić stolicy lata biedy i niedoli.

GROZNY GLAMOUR

Miasto jak gąbka wchłania zachodnie nowinki. Chodzi o to, aby: dotrzymać kroku Europie,



GROZNY – CENTRUM ŚWIATA

jak najszybciej zetrzeć ostatnie ślady po wojnie, pokazać światu, że życie toczy się dalej i że należy patrzeć w przyszłość. A ta dla Groznego ma być świetlana. Grozny chce być „glamour” oraz „trendy” – na tyle, na ile Czeczenii wydaje się taką Europą.

Gładkimi ulicami miasta suną superszybkie i supernowoczesne samochody. Prawie same „inomarki” – zagraniczne modele aut. Najczęściej na drogach spotykane są hummery, ale ze wszystkich modeli ten jest najbardziej „glamour”, dlatego pozwolić sobie na niego

mogą jedynie nieliczni. Na przykład tacy, co zamówienie na drugą wersję popularnego tabletu „z jabłuszkiem” składali jeszcze przed premierą gadżetu w Ameryce. Albo tacy, którzy drzwi swojej „inomarki” zwykli otwierać przed luksusowymi butikami na Prospekcie Putina.

Nowobogacy wydający fortunę na konsumpcję rzucają się w oczy, mimo że w Groznym nie stanowią większości. Znakomitej części społeczeństwa nie stać na zakupową rozpustę. Ale w czeczeńską tradycję wpisany jest schludny i ładny ubiór. Dlatego młodzież



też chce być „glamour” i wybiera się na Bierkat, duży bazar w centrum Groznego.

Nasz Bogdan całe dni spędza na Bierkacie, ni to robiąc zakupy, ni to zabijając czas. Zdarza się jednak, że wraca do domu z siatkami pełnymi modnych ubrań: T-shirtem podobnym do koszulki jednego z zachodnich gwiazdorów, džinsami, jakie widział w młodzieżowym piśmie, i butami w „krokodyle” wzory, bo takie w nadchodzącym sezonie będą „trendy”. Wieczorem siada przy kuchennym stole przykrytym ceratą i wyklada z kieszeni

obydwa swoje telefony. Zobaczył kiedyś w telewizji Europejczyków, którzy mają po kilka komórek, więc też sobie sprawił. Z jednej wysłał tylko esemesy, z drugiej wchodzi na portale społecznościowe.

Przy całej swojej miłości do zachodnich nowinek Czeczeni nie wyrzekają się jednak tradycji i starają się łączyć nowoczesność z konserwatyzmem. Widać to zwłaszcza u kobiet. Od wieków Czeczenki noszą suknie lub spódnice. Do długich, aż do kostek, ale powabnych i dodających gracji strojów, dziewczyny zakładają buty na obcasie, najczęściej bardzo wysokim. Spodni kobiety w Czeczenii nie uznają. Tej części garderoby nie sposób znaleźć nawet w luksusowych butikach. Spodnie dla kobiet są niemoralne, podobnie jak przykrótkie czy wydekoltowane sukienki, które jednak sprzedawane są na straganach i w sklepach, a potem noszone przez stołeczne modnisie. W takich strojach Czeczenki przemierzają chodniki, wystukując obcasami rytm miasta i poprawiając w biegu dopasowaną kolorystycznie chustkę. Mały skrawek materiału na czubku głowy jest obowiązkowy. Tak zaleca tradycja, a ostatnio i młody prezydent Kadyrow.

„TURBAZA”, CZYLI OSTATNIE ŻYCZENIE

Ostatnio prezydent zażyczył sobie, aby Czeczenia stała się centrum turystyki. A że życzenie prezydenta równoznaczne jest z rozkazem, zagraniczni inwestorzy przystąpili do realizacji ambitnych planów. I skupili się na szczytach. Dosłownie.

Intencją Ramzana Kadyrowa stało się utworzenie po czeczeńskiej stronie gór Kaukazu ośrodka narciarskiego, czyli „turbazy”. I oto już za dwa lata powstanie nowy kurort – dla rodzimych, jak i zagranicznych miłośników białego szaleństwa. Projekt, który pochłonie 14 mld rubli, czyli około 1,4 mld złotych, przewiduje 19 tras narciarskich i 9 linii nowoczesnej kolei gondolowej oraz wyciągu krzesełkowego. Do tego – infrastrukturę hotelową i gastronomiczną. To wszystko w otoczeniu pięknych gór na granicy z Gruzją.

Spokój w Czeczenii wart jest każdego pomysłu i każdego pieniędzy asygnowanych przez rząd federalny w Moskwie. ○



Nie wierzcie Krasińskiemu: w Okopach Św. Trójcy rośnie kapusta. I pasą się krowy, nic dziwnego, że wlażłem tam w imponujące łajno.



Czasem do Okopów koło Kamieńca Podolskiego zajrzy jakiś zbłąkany polski turysta. Na to tylko czyha sześćdziesięcioletni, błyskający złotym uzębieniem Witalij – samozwańczy przewodnik i właściciel zarówno kapusty, jak i krow. Nie dba o konwenanse – w upał prowadzi nas do ruin w samych majtkach (oszczędzę Państwu szczegółów) i pokazuje: o, tu była Polska, tam za Zbruczem – Ruscy, a za Dniestrem – Rumunia. A teraz wszędzie bardak i Ukraina.

Widok imponujący, Wasilij wstrząsający i tak to ów miły jegomość stał się nieoczekiwanie jednym z najjaśniejszych punktów mojej sierpniowej wyprawy na Podole, Pokucie i ukraińskie Dzikie Pola. Spotkanie z nim uzmysłowiło mi przy okazji, że z wakacji jakże często zapamiętujemy nie to, co wydawało nam się najważniejsze, ale to, co szczególne, nadzwyczajne, wyjątkowe. Bo i Witalij nadzwyczajny był – jakoś nie spodziewałbym się takiego przewodnika po Stonehenge czy Akropolu.

Powinno dać to mi – jako ojcu i głównemu winowajcy ostatnich wakacji – sporo do myślenia. W końcu sam jako

dziecko niewiele pamiętam z fromborskiej katedry, za to doskonale zapamiętałem, że w Braniewie mego ojca rozboleły zęby i biegła po całym miasteczku w rozpaczliwym poszukiwaniu dentystki. Czyżby więc i moje pacholęta, miast pieczołowicie wkładanych im do głów historii o Sobieskim, konfederatach barskich czy Krasińskim, miały zapamiętać tylko łajno, w które wdepnął tata, oraz naszego bedekera w majtkach i ze złotymi zębami?! No bo jeśli tak, to naprawdę przepłaciłem. W końcu łączkę z niespodziankami mogłem znaleźć bliżej.

O sensie, a raczej jego braku, podróży z dziećmi już się tu rozpisywałem, dość powiedzieć, że choćbyś nie wiem jak się człowiecze nastarał, choćbyś cudawianki pokazał, choćbyś na kraj świata, a nawet tuż za, na ten przykład do jakiegoś Buczacza, dzieciarnię zabrał – i tak wszystko psu na budę. I tak zawsze najfajniejszy byłby hotel z basenem na Cyprze. Może być bez zabytków, byle ze zjeżdżalnią.

A Ukraina? Z tego wszystkiego najlepszym pomysłem okazało się puszczenie dzieciarni w samochodzie „Pana

Wołodyjowskiego” czytanego przez Janusza Gajosa. Rychło okazało się, że nawet Ignacy lat cztery (i pół – obraziłby się, gdybym tego nie dodał) zapamiętał słowa Baśki: „On nie ma wąsów, ja rozumu i nie wiadomo, które z nas pierwszej się swego doczeka”. No, ale żeby tyle załapać, nie warto trzech tysięcy kilometrów przejeżdżać, nieprawdaż?

Ale co tam dzieci, skoro ja sam z podróży konotuję w łepetynie głównie menu ze szczególnym uwzględnieniem rozdziału „napoje”. Wszystkie wietnamskie pagody mieszają się mi w jedną, za nic nie pamiętam, z którego były wieki i kto je pobudował, ale smaku przeróżnych skorupiaków zjadanych na ulicy w Sajgonie nie zapomnę nigdy. Ja wiem, że owym dramatycznym przykładem prymitywizmu nie należy się chełpić, ja tylko staram się me dzieci jakoś wytłumaczyć. Cóż robić, obciążone dziedzicznie!

Czasem oczywiście w pamięć zapada i co innego. Swoje pierwsze chwile w jakimkolwiek kraju arabskim przeżyłem na lotnisku w Ammanie. Ponieważ był to jednak środek nocy, to nie chciało mi się szukać hoteli w centrum i te

pierwsze kilka godzin przedzemałem grzecznie w lotniskowym meczecie. Od tego czasu zresztą jestem gorącym zwolennikiem budowy meczetów na wszystkich absolutnie lotniskach świata. I to koniecznie wyposażonych w miękkie dywany.

Albo sajańskie stopy – wybierając się na południową Syberię, spodziewałem się głównie, jeśli nie wyłącznie, obcowania z dziką przyrodą. Zgoda, tego też zaznałem, choć najdziksze były walki toczone z komarami w bloku w Abakanie. Ta stolica Chakasji niezwykle ma tylko nazwę – podobno Abakan w ich języku oznacza niedźwiedzią krew. Samo dwutysięczne miasteczko (wygląda co najwyżej jak siedziba niedużego powiatu) jest banalne do bólu. I ani Chakasja, ani bliskość Tuwy i niedużych pieśniarzy tego wrażenia nie zmieniło.

Niebanalne mieli tam wyłącznie napoje. Nie, nie mam na myśli bimbru, nie próbowałem. To w Abakanie piłem za to po raz pierwszy i ostatni tarhun – nie-

zwykle popularne w całych Sowietach zielone paskudztwo. Teoretycznie miał to być napój estragonowy – o matko, gdybym wiedział, nie wziąłbym tego do ust! W praktyce smak tego słodkawego dziadostwa doskonale oddał mój towarzysz podróży, pewien ekstrordynaryjny klaretyński misjonarz. „Czystaja chimia” – rzekł po degustacji. I trudno się z nim nie zgodzić.

Ale dość facecji. Sprawa jest ciut poważniejsza i zahacza o fundamentalne – jak na łamy miesięcznika *Poznaj Świat* – pytanie: po co w ogóle włączyć się po świecie, co w nim poznawać? Tym bardziej, jeśli nie tylko dzieciakom zaczynają się mieszać kolejne stacje kresowe i tylko ją bulwersują się jaskrawymi przykładami ignorancji, bo te nad Zbruczem, a tamte nad Prutem stawiano.

Ano podróżujemy, chyba wszyscy, głównie dla kolekcjonowania wrażeń. Dla wspomnień, niekoniecznie dla wiedzy, z którego wieku jest cerkiew Ateni Sioni (z siódmego), a z którego mona-

ster Jvari (jakiś sto lat starszy). To wszak można zawsze sprawdzić w internecie, co i ja, przyznając bez bicia, uczyniłem, ale wrażeń ze spotkania ze stuletnimi dziadkami grającymi w szachy pod Ateni Sioni (Gruzja, jakieś dziesięć kilometrów od stalinowskiego Gori) opisać się nie da.

A przecież, gdyby zechciał to ktoś zobaczyć na czynniki pierwsze, to nie było w tym nic nadzwyczajnego: ot, normalna gruzińska wieś w górach, typowa ulicówka, przed domami dżentelmeni wyglądający równie staro jak kościół i równie szlachetnie jak Kaukaz, częstują zwyczajnym białym winem. Ba, nie potrafią nawet powiedzieć, z jakiego to szczepu, dość, że tutejszego. A jednak jest w takim spotkaniu coś niezwyklego, coś, co każe mi opisywać je i rozpałmiętywać po wielokroć, choć miało to wszystko miejsce jedenaście lat temu.

Co? Ano właśnie, nie każcie mi Państwo udowadniać, tylko sięgnijcie do własnych wspomnień. ○



Masz własne spojrzenie na świat, mnóstwo niespożytej energii i niecodziennych pomysłów?



Podróże są Twoją pasją, a dodatkowo przed kamerą czujesz się jak ryba w wodzie?



Jeśli na te wszystkie pytania odpowiedziałeś TAK, to właśnie Ciebie szukamy!

**Konkurs rusza
1 października 2012!**

Zapoznaj się z programem
Travel 2012 i jego
prowadzącym Michałem
Borejko!

Oglądaj Travel 2012 przez cały
październik na Travel Channel
i szukaj inspiracji!

Więcej na
www.travelchanneltv.pl

ZOSTAŃ PREZENTEREM TRAVEL CHANNEL!



FOTOGRAFIE ZE ZBIORÓW MICHAŁA KOCHAŃCZYKA

MÓJ PRZYJACIEL SWAMI

Michał Kochańczyk

Słuchając podczas
moich wędrówek po
Indiach dziwnych
opowieści
i przyglądając się
w świetle naftowych
lamp twarzom
pielgrzymów
z całego
subkontynentu,
zrozumiałem,
że tutaj nie ma
rzeczy
niemożliwych.

W Indiach prawie każde wzniesienie czy góra są święte. Szczególnie dotyczy to Himalajów. Nawet skały mogą tu mieć znaczenie religijne, zwłaszcza jeśli wznoszą się pionowo i mają kształty falliczne. W opisach zawartych w eposach staro-hinduskich „Mahabharacie” i „Ramajanie” Himalaje leżą u podnóża góry Meru, stanowiącej środek świata. Wokół Meru, na szczytach sięgających samego nieba, mieszkają bogowie. Himalaje Garhwalu na północy Indii są czczone przez setki milionów wyznawców hinduizmu, wszak tu ma swe źródło święta rzeka Ganges. Stare księgi sakralne głoszą, że Ganges wypływa ze stopy boga Wisnu, opływa niebo pod postacią drogi mlecznej „Mandakini”, a potem spada ze splątanych włosów Sziwy.

OPOWIEŚCI DZIWNEJ TREŚCI

Każdy gorliwy hinduista powinien powędrować w swoim życiu do trzech źródeł Gangesu: Gangotri, Badrinath i Kadernath. Dlatego latem hinduska armia i dziesiątki tysięcy pracowników zmuszają naprawiają zniszczone przez monsunowe deszcze mosty oraz zerwane drogi, aby masy pątników mogły dotrzeć do świętych miejsc. Pielgrzymują całe rodziny, miasta, prowincje. Jeśli nie liczyć aspektów militarnych, to praktycznie dzięki pielgrzymkom utrzymywana jest sprawna sieć kamienistych dróg w Himalajach Garhwalu, co ułatwia niewątpliwie organizację wypraw alpinistycznych. Jazda nad wielkimi przepaściami w rozklekotanych autobusach z pątnikami z całych Indii to duże przeżycie.

Wieczorami, na noclegach w salach dla pielgrzymów mogłem usłyszeć niesamowite opowieści o medytujących nad źródłami Gangesu kapłanach, zwanych świętymi (swami). Ponoć w Badrinath żyją swami w niezwyklej medytacji udoskonalający swoje ciało: potrafią na przykład siedzieć gołą pupą przez sześć tygodni na lodowcu. A w Kadernath swami koncentrują się na sprawach ludzkiego poczęcia: podobno potrafią doprowadzić człowieka do takiego stanu, że orgazm u mężczyzny trwa godzinę, a następnie tenże mężczyzna jest w stanie wciągnąć plemniki do środka...

Świątynia hinduistyczna w osadzie Gangotri nad rzeką Bhagiratti.

DOM POD GŁAZEM

Latem 1981 roku prowadziłem w Himalajach Garhwalu wyprawę Akademickiego Klubu Alpinistycznego z Gdańska. W połowie sierpnia nasza wyprawa założyła bazę na wysokości 4200 m n.p.m., na wielkiej łące Tapovan nad lodowcem Gangotri – u stóp góry Meru. Tuż pod nami znajdowało się źródło Gangesu. W Gomoukh z wielkiej lodowej jaskini, od czoła lodowca Gangotri, wypływała rzeka Bhagirathi dająca początek Gangesowi. Na morenie lodowca, w kamiennych kolebach mieszkało, w pewnym oddaleniu od siebie, kilku pustelników. Z jednym z nich udało nam się zaprzyjaźnić.

Nasz swami od kwietnia do października mieszkał w zagłębieniu pod wielkim głazem obudowanym kamieniami, gdzie urządził sobie przytulne schronienie. Medytował, czytał wiele książek, pogłębiając swoją wiedzę w mistycznym miejscu nad źródłem świętej rzeki. Zimą dzielił się swoimi przemyśleniami w szkołach dla kapłanów w Madrasie i Kalkucie.

Byliśmy tutaj jedną z pierwszych wypraw alpinistycznych i nie posiadaliśmy dokładnych map tego rejonu. W przeddzień wyruszenia na pierwsze rekonesansowe wyjście swami sam zaproponował nam swoją pomoc. Okazał się bezcennym przewodnikiem. Pokazywał najlepsze przejścia przez lodowce i znajdował odpowiednie skróty w wielkich kamiennych rumowiskach lodowcowych moren. Z racji mojej kierowniczej funkcji, jako „leader sahib”, przypadło mi dzielenie z nim namiotu. Zasypiał zawsze pierwszy, tuż po zachodzie słońca, i gdy chwilę potem wchodziłem do namiotu, czułem, jakbym wchodził do sklepu korzennego.

NASZ BRAT PUSTELNIK

Ze starannością i szacunkiem podeszliśmy do jego wiary i przekonań. Gotowaliśmy dla niego wegetariańskie posiłki w nowych mezażkach, w których nigdy nie było mięsa ani ryby. Swami ufał nam – byliśmy dla niego wiarygodnymi partnerami. Jednakowoż z nami męczył się na uciążliwych podejściach, a na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów, podobnie jak my, cierpiał na bóle głowy.

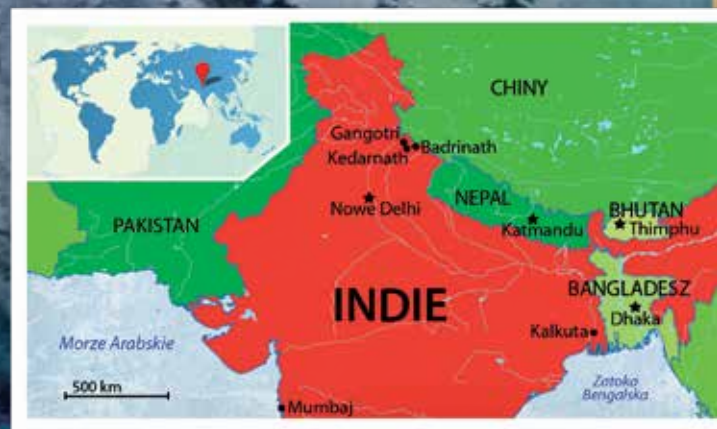
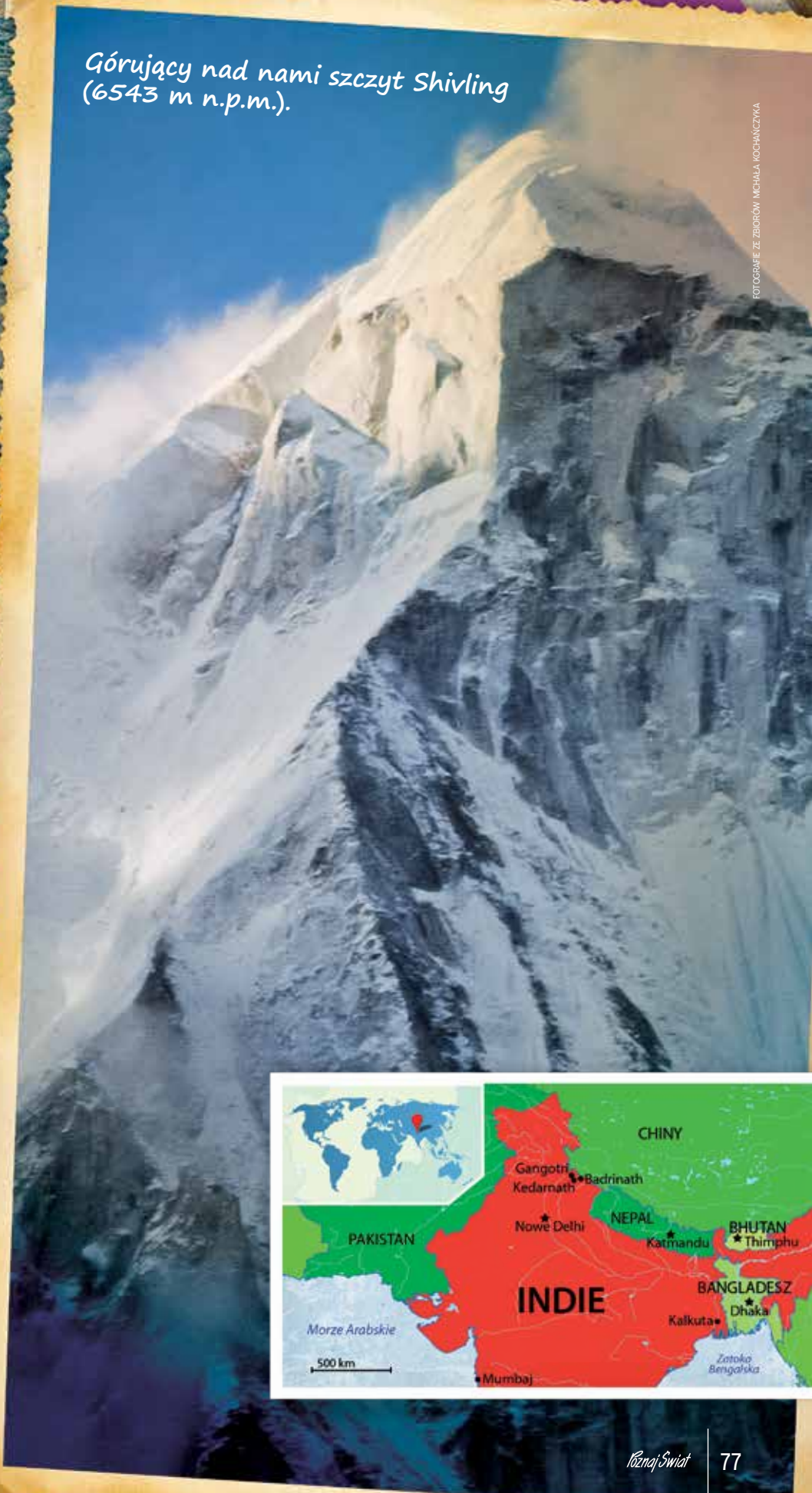
Później, w czasie trwania wyprawy, często odwiedzał naszą bazę. Okazało się, że nie był zbyt ortodoksyjny, na przykład chętnie palił amerykańskie papierosy. Jego wizyty przynosiły uspokojenie dynamicznego rytmu życia w bazie. Dzięki niemu znajdowaliśmy czas na

Baza wyprawy na polanie Tapovan (4200 m n.p.m.).

Ja i swami.

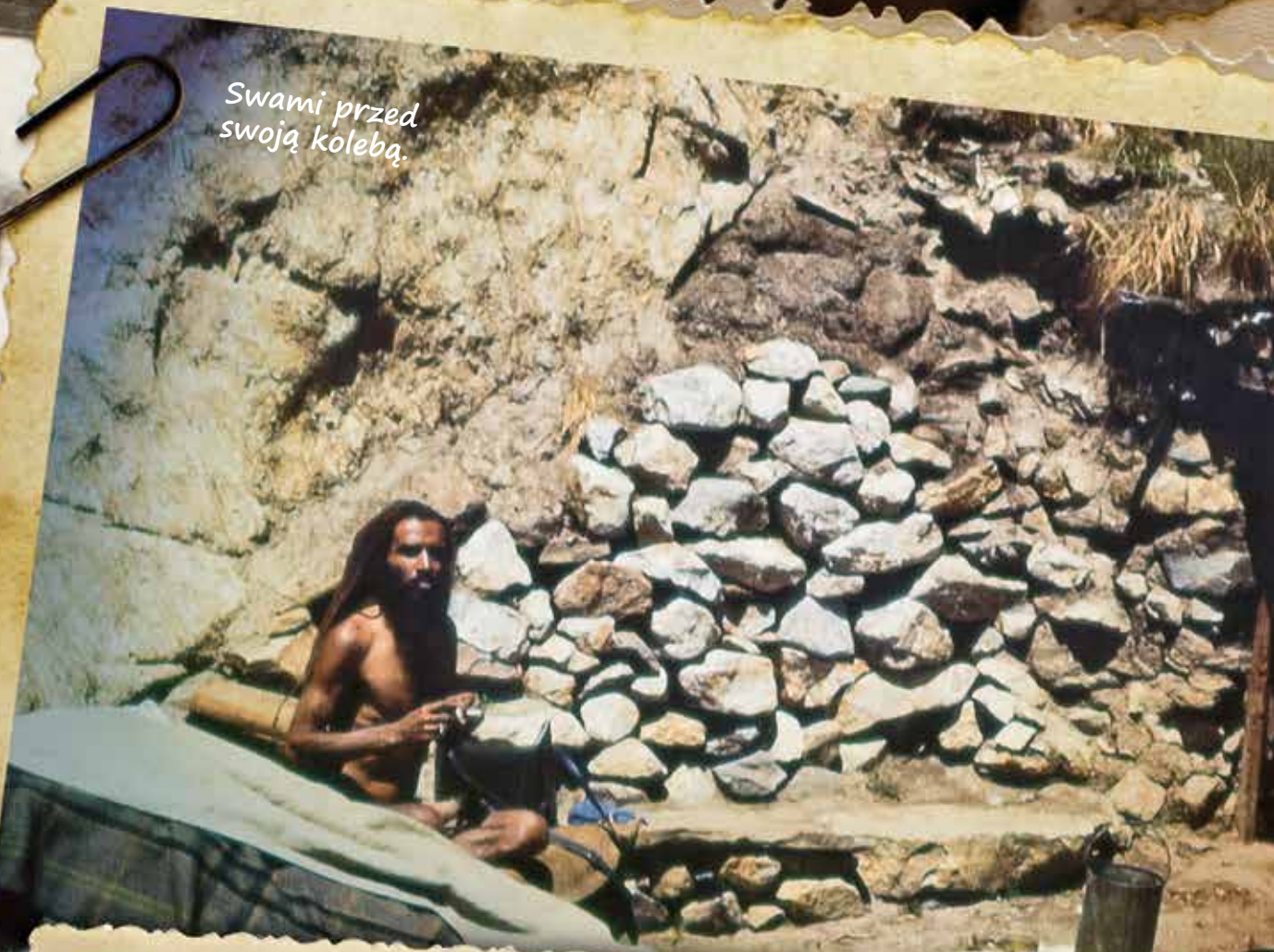
Górujący nad nami szczyt Shivling
(6543 m n.p.m.).

FOTOGRAFIE ZE ZBIORÓW MICHAŁA KOCHANCZYKA

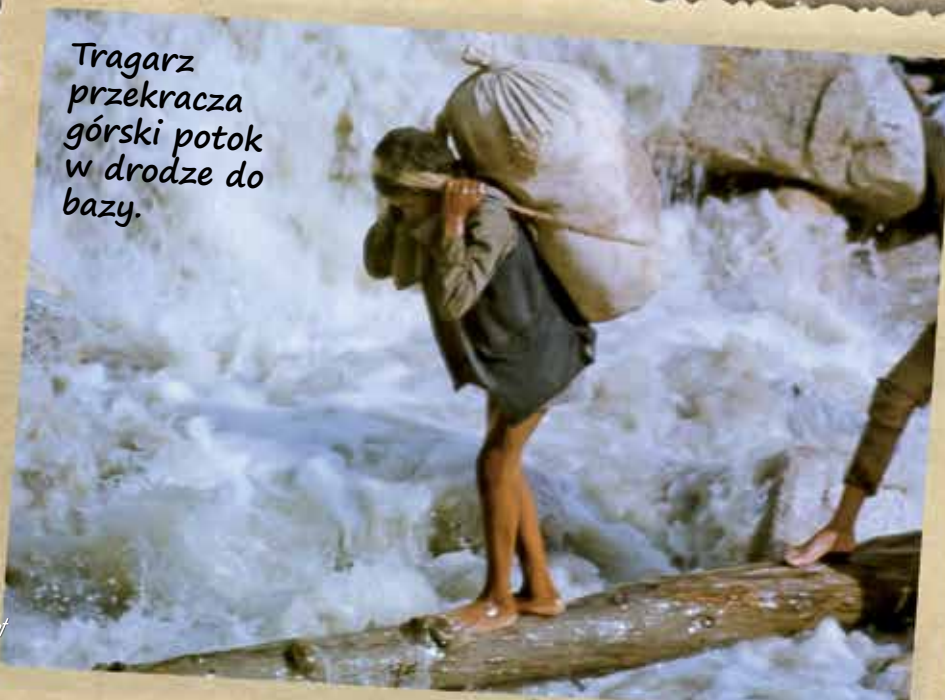


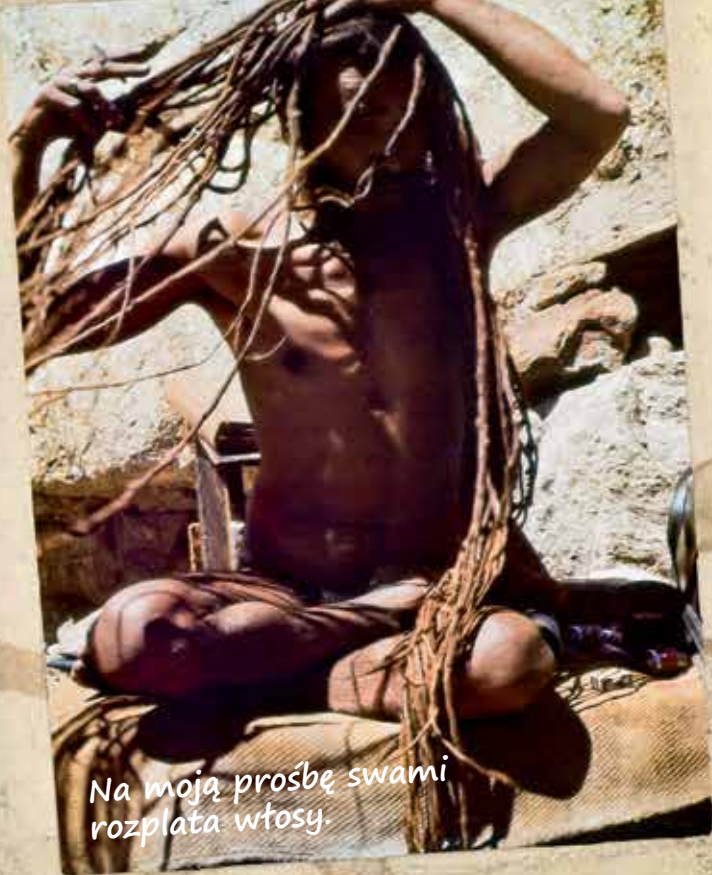


Swami przed
swoją kolebą.



Tragarz
przekracza
górski potok
w drodze do
bazy.





Na moją prośbę swami rozplata włosy.

niespieszne wypicie herbaty i dłuższą rozmowę. Swami mówił swobodnie po angielsku, lecz nigdy nie odpowiedział mi na pytanie, ile ma lat. Wydaje mi się, że je zrozumiał, ale chyba po prostu nie znał swojego wieku.

Odwiedzałem go często. Zastawałem siedzącego na zewnątrz przed wielkim kamieniem, czytającego święte księgi, lub w środku koleby podczas medytacji przed obrazem boga Kryszny, oświetlonym japońską lampą neonową. Często wał mnie swoimi posiłkami. Żywność otrzymywał od docierających do niego hinduskich pielgrzymów, którzy traktowali go z wielką atencją.

Był bardzo życzliwy. Pożyczył nam prymus naftowy, szybkar, a nawet pomógł w naprawie moich wielkich podwójnych skórzanych butów wspinaczkowych, w których puściła podszwa. Chyba mnie polubił, bo specjalnie dla mnie kiedyś rozpuścił długie włosy spięte na kształt turbanu i pozwolił się do woli fotografować na tle gór, które otaczał estymą.

PAMIĘĆ O SWAMIM

Przez miesiąc przebywaliśmy w przepięknej górskiej scenerii nad lodowcem Gangotri. Jako pierwsi Polacy zdobyliśmy siedmiotysięcznik (Satopanth – 7075 m) i trzy szczyty sześciotysięczne (Bhagirati II 6512 m, Chandra Parbat – 6728 m oraz Srikailas – 6932 m). Z żalem rozstawaliśmy się z tym uroczym miejscem i naszym swami. Zostawiliśmy mu wszystkie zapasy. Podarowałem mu też swoje zdjęcie. Później przez wiele lat, co roku, przez himalaistów z całego świata otrzymywałem od niego pozdrowienia. Moje zdjęcie umieścił tuż obok ołtarzyka boga Kryszny.

Minęło od tego czasu trzydzieści lat. Każdego sezonu do doliny Gangotri docierały kolejne wyprawy alpinistyczne, wytyczając nowe wielkie sportowe drogi na lodowo-skalnych ścianach himalajskich olbrzymów. Skończył się ostatecznie etap eksploracji, a Gangotri stało się po części areną, gdzie najlepsi himalaści świata prowadzą między sobą mimowolną rywalizację.

Również w dolinie wiele się zmieniło. W kamiennych kolebach mieszkają już inni święci pustelnicy i nikt nie wie, co się stało z naszym swami. Mam nadzieję, że żyje gdzieś godnie w tym wielkim tygł, jakim są Indie. Mnie pozostał jego niezapomniany wizerunek – świętego człowieka, który w bezpośrednim spotkaniu zyskiwał normalny, ludzki wymiar. Kogoś niezwykłego, kto uważał mnie za swojego przyjaciela. ○



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





FOT. SHUTTERSTOCK

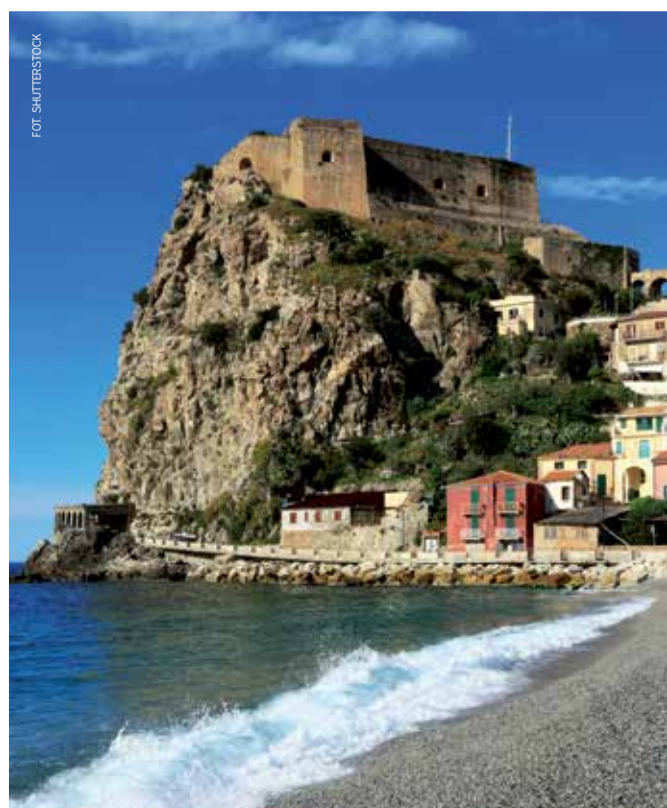
MIASTO MITYCZNEGO POTWORA

Według mitu niemożliwym było przepłynięcie pomiędzy Sycylią a kontynentalną częścią Włoch. Po jednej stronie cieśniny Mesyńskiej żył potwór Charybda, a po drugiej Scylla, oba polowały na nieostrożne okręty, które zapuściły się na te wody. Dziś po stworach nie ma śladu, a w miejscu, gdzie miała kiedyś mieszkać Scylla znajduje się miejscowość Scilla. Warto przede wszystkim zwiedzić jej najstarszą część ze wnoszącym się nad stromym urwiskiem zamkiem Castello Ruffo. Pierwsze zabudowania forteczne w tym miejscu sięgają V wieku p.n.e. Na przestrzeni wieków zamek był wielokrotnie burzony, budowany na nowo i przebudowywany. Zmieniało się też jego zagospodarowanie, a to, co można dziś podziwiać, jest w przeważającej części dziełem XVI-wiecznych architektów.



38°15'N 15°43'E

20 kilometrów na północ od Reggio di Calabria.



FOT. SHUTTERSTOCK

ŻYWY SKANSEN

Położona w północnej Rumunii, w regionie Maramuresz, Dolina Izy zachwyca nie tylko krajobrazem, który tworzą malowniczo położone wśród górskich dolin miejscowości, lecz przede wszystkim drewnianą architekturą i kulturą ludową.

W dolinie znajduje się wiele wiosek, z których część zlokalizowana jest przy drodze prowadzącej wzdłuż rzeki Izy. Niemal w każdej z nich zwiedzać można drewniane cerkwie, których charakterystycznym elementem są strzeliste wieże górujące nad okolicą. Najstarsza świątynia, datowana na XIV wiek, znajduje się w Ieud. Z kolei cerkwie w miejscowościach Bogdan Voda i Rozavlea słyną z dobrze zachowanych polichromii i cennych ikonostasów. W pobliskiej Barsanie znajduje się prawosławny klasztor żeński wybudowanych w latach 1990. w tradycyjnym stylu marmaroskim. Również w budownictwie świeckim dominuje architektura drewniana. Bogato rzeźbione bramy domostw stanowią jedną z wizytówek regionu. Mieszkańcy często noszą stroje marmaroskie i kultywują lokalne tradycje, m.in. w wyrobie rękodzieła artystycznego, dzięki czemu Dolina Izy stanowi ostoję wciąż żywego folkloru i tradycji ludowych.



47°49'N 24°03'E

90 km na wschód od Satu Mare.



WINNA DOLINA

Dolina Wachau słynie z malowniczych pejzaży, rozsianych po alpejskich stokach winnic, a co za tym idzie – z produkcji wybornych alkoholi. Warto odwiedzić Dürnstein, maleńkie, liczące zaledwie 900 mieszkańców miasteczko. Na górującej nad nim skale znajdują się ruiny średniowiecznego zamku, w którym więziony był, znany z opowieści o Robin Hoodzie, angielski król Ryszard Lwie Serce. Warto również zobaczyć średniowieczny kościół parafialny św. Kunegundy, ratusz miejski oraz barokowy klasztor Augustianów.



48°23'N 15°31'E

90 kilometrów na północny zachód od Wiednia.



Kotor jest portowym miasteczkiem z urzekającą starówką. Tworzą ją pamiętające XII wiek budynki, wzniesione w charakterystyczny dla Bałkanów sposób. Najciekawsze z nich to romańska katedra św. Tryfona i cerkiew Matki Boskiej od Zdrowia.

Cesarstwo Bizantyńskie na przestrzeni wieków toczyło liczne wojny, które wymagały sieci umocnionych zamków i twierdz. Jedną z nich jest górująca nad Kotorem twierdza św. Jana. Osoby o dobrej kondycji fizycznej mogą wspiąć się do niej po schodach prowadzących z samego centrum miasta. Z wysokości 260 metrów n.p.m. rozciąga się widok na Zatokę Kotorską i otaczające ją szczyty. Tym, którzy nie zdecydują się na wspinaczkę, pozostaje możliwość popluskania się w wodach Morza Adriatyckiego.



42°26'N 18°46'E

50 kilometrów od granicy z Chorwacją.



FOT. SHUTTERSTOCK

Miasto Hanzy

Visby jest stolicą położonej na Morzu Bałtyckim wyspy Gotlandii. Już od czasów średniowiecza było ważnym miastem hanzeatyckim. Jego dynamiczny rozwój zatrzymały najazdy: duńskie, pirackie, a ostatecznie niemieckie, w wyniku których spalono wszystkie znajdujące się tu kościoły. Miasto ponad sto lat czekało, by wrócić pod panowanie szwedzkie.

Dzisiaj Visby to 22-tysięczna miejscowość wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zachowało się tu ponad 200 średniowiecznych budynków z kamienia, a także ruiny 23 kościołów i katedra. Stare Miasto otacza dobrze zachowany, pochodzący z XIII wieku mur, w skład którego wchodzi 50 wież obronnych.



57°38'N 18°17'E

Na zachodzie Gotlandii, 134 kilometry od brzegu kontynentalnej Szwecji.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. ISRAELTOURISM

ZABAWA Z DELFINAMI

Eilat, izraelski kurort położony u wybrzeży Morza Czerwonego, fascynuje bogatym życiem nocnym i fantastycznymi warunkami do uprawiania wszelkich sportów wodnych. To jednak nie wszystko.

Miasto zostało założone w 1950 roku. We wczesnych latach 1950. zbudowano tu nabrzeże, a później port, który stał się bazą miejskiej gospodarki. Pod koniec lat 1960. zaczął rozwijać się przemysł turystyczny przez co Eilat stał się rajem dla podróżników i urlopowiczów z całego świata, którzy chętnie przyjeżdżają odpoczywać w tym najbardziej wysuniętym na południe mieście Izraela.

Zimą przyciąga przede wszystkim turystów z Europy, którzy wybierają wakacje w cieplejszym i przyjemniejszym klimacie, podczas gdy Izraelczycy nadciągają tu w lecie. Tajemnicą uroku tego małego miasta jest jego szczególne położenie na



FOT. ISRAELTOURISM

północnym krańcu zatoki Eilat. Połączenie gorącego klimatu, tropikalnego morza i zapierających dech w piersiach dzikich, nagich, granitowych skał uczyniło z niego całoroczny turystyczny klejnot.

W licznych restauracjach każdy znajdzie coś dla siebie. Są tu także kluby, kolorowe sklepy (Eilat jest objęty strefą wolnocłową!) i promenada wzdłuż południowego brzegu, na której rozpościerają się tętniące życiem bazyry. Dodatkowymi atrakcjami dla młodzieży i rodzin są wodny park rozrywki,



FOT. ISRAELTOURISM



FOT. ISRAELTOURISM





FOT. ISRAEL TOURISM



„Królewskie Miasto” – naszpikowany nowinkami technicznymi park tematyczny powstały w oparciu o historie biblijne. Eilat dysponuje także kinem IMAX, wyświetlającym filmy w technologii 3D, i wieloma innymi miejscami, gdzie można się pobawić i odpocząć.

Zatoka jest jedną z głównych atrakcji regionu. Dzięki przepięknym plażom i szeroko rozwiniętej infrastrukturze do uprawiania sportów wodnych to jedno z najlepszych miejsc do nurkowania na świecie. Na południu miasta znajduje się rezerwat koralowców ze wspaniałymi tropikalnymi rybami pływającymi wśród raf. Na terenie rezerwatu można odwiedzić podwodne obserwatorium z muzeum morskim, prezentujące kolekcję fascynujących morskich zwierząt.

Jednym z najbardziej wyjątkowych miejsc, którego nie da się pominąć, będąc na wakacjach w Ejlacie, jest delfinarium.

Absolutnie niezwykle miejsce dające możliwość kontaktu z tymi pięknymi ssakami w ich naturalnym środowisku. Odwiedzający mogą podglądać delfiny podczas codziennych zabaw i aktywnie w nich uczestniczyć – obserwować ze specjalnie przygotowanych do tego pomostów lub pływać i nurkować w ich towarzystwie. Delfiny mają swobodę i same wybierają, czy wolą towarzystwo ludzi czy swoich towarzyszy. Taki wolny wybór jest potwierdzeniem specjalnej więzi, jaka tworzy się między ludźmi i delfinami. Zwierzęta nie są w żaden sposób zachęcane do zabawy z nurkującymi, na przykład poprzez dokarmianie. Są ciekawe ludzi i chętnie spędzają z nimi czas.

Więcej informacji o atrakcjach turystycznych Izraela na:

www.goisrael.pl

oraz na facebooku:

www.facebook.com/OdowiedzIzrael



FOT. ISRAEL TOURISM



FOT. ISRAEL TOURISM



FOT. ISRAEL TOURISM

ZIMA POD ZNAKIEM FREERIDE'U

Val di Fassa

Zima pełna niespodzianek na stokach Val di Fassa to, w telegraficznym skrócie: ponad 200 km szlaków narciarskich, 86 wyciągów, w tym oddana do użytku po remoncie 6-osobowa "kanapa" Sasso Levante (długość trasy: 1180 m; przepustowość: 2400 os./godz.), łącząca Passo Sella z Col Rodella, 9 łączących się ze sobą na granicach obszarów narciarskich, wiele skitourów, w tym słynna Sellaronda, 4 snowparki, 7 funparków dla najmłodszych, w których instruktorzy uczą poprzez zabawę. Do tego dochodzi 70 km tras dla amatorów biegówek, również na trasie Marcialonga – najpopularniejszego skimaratonu we Włoszech. Kuszą też "błękitne trasy", po których można wyruszyć śladami wielkich sportowców z narodowej kadry narciarstwa alpejskiego, która właśnie Val di Fassa obrała sobie na miejsce treningów do Olimpiady 2014 r. A po zejściu ze szlaków można zjechać kolejką do najbliższej miejscowości w dolinie, gdzie pełno jest après ski, pubów i sklepów z markowym sprzętem narciarskim, a także znakomitych restauracji serwujących specjalia lokalnej gastronomii.

Otwarcie sezonu zimowego w dolinie zawsze jest huczne. Na początku grudnia amatorzy jazdy poza szlakami będą mogli przetestować dwie nowe trasy freeride'owe. Poza tym na turystów czekają odnowione, sprawne wyciągi i nowy, fantastyczny aquapark.

„Col Margherita freeride park” na przełęczy Passo San Pellegrino to pierwsza z dwóch nowiuiteńskich tras freeride'owych, która zostanie otwarta już 3 grudnia br. (o ile oczywiście pozwolą na to

warunki śniegowe). Program

imprezy inauguracyjnej jest bardzo bogaty:

przy dźwiękach rytmicznej muzyki będzie można wypróbować deski oraz inne elementy narciarskiego stroju, które udostępnią znane i renomowane firmy. Ten pierwszy park freeride'owy, "autoryzowany" i zrealizowany przez region Trentino (we współpracy z Prowincją Trentino, Gminą Moena, Centrum Szkolenia Alpejskiego Policji w Moena, spółką zarządzającą wyciągami Ski Area Trevali) to projekt pilotażowy. Trasa wytyczona została na północnej ścianie Col Margherita (2545 m n.p.m.), szczytu znajdującego się w łańcuchu górskim Bocche i zapewnia wspaniałą, ale zarazem w pełni bezpieczną zabawę. Jakkolwiek bowiem mówimy o jeździe poza szlakiem, jego granice zostały wyraźnie określone i oznakowane. Poza tym szlak jest stale kontrolowany przez wyszkolony personel, który sprawdza warunki śniegowe i widoczność. Cała trasa biegnąca pomiędzy skałami, liczy 800 m pełnych muld i małych skoczni. Obsługiwana jest przez kolejkę.

Równie wiele zabawy dostarcza druga trasa freeride'owa, "Toè", licząca ponad 1000 m długości (start na wysokości 2237 m n.p.m., meta - 1934 m n.p.m., różnica poziomów 303 m), położona w sercu obszaru narciarskiego Belvedere. Pasjonatom "wolnej" jazdy oferuje emocje na stoku i zapierającą dech w piersiach panoramę Dolomitów.

Folgaria

Okręg narciarski Ski Tour dei Forti w Folgarii i Lavarone dysponuje 104 km tras dzielonych między dwa rejon Folgaria-Fiorentini (74 km) oraz Lavarone (30 km). Są one cenione przez narciarzy za różnorodność, nowoczesne i szybkie wyciągi, zapierające dech w piersiach krajobrazy i obecność pamiątek z okresu I wojny światowej, w tym imponujących fortecy, wzniesionych do obrony ówczesnej granicy austro-węgiersko-włoskiej.

Dzięki nowym wyciągom uruchomionym przed sezonem zimowym 2011/2012, rejon narciarski Folgarii rozszerzony został do 100 km tras, obejmując górę Pioverna i szczyt Costa d'Agna, należący już do regionu Wenecji Euganejskiej. Z wysokości 1820 m n.p.m., na którą wspina się trasa, można podziwiać rozciągającą panoramę Dolomitów Brenta, masywu Pasubio, szczytu Carè Alto leżącego w masywie Adamello-Presanella, lodowca Adamello... aż po południową ścianę Marmolady.

Oprócz tras narciarstwa zjazdowego, Folgaria i Lavarone dysponują renomowanymi centrami dla biegaczy. Są to: Centrum Narciarstwa Biegowego Passo Coe w Folgarii (35 km tras) oraz Centrum Narciarstwa Biegowego w Millegrobbe w Lavarone (39 km tras). Od tego roku dołączy do nich po remoncie położone na płaskowyżu Folgaria Centrum Narciarstwa Biegowego w Forte Cherle (12 km tras do nauki i relaksu w jednej z najpiękniejszych pod względem krajobrazowym lokalizacji płaskowyżu).

Uzupełnieniem oferty narciarskiej jest ta skierowana do osób, które nie jeżdżą, czyli parki rozrywki na śniegu dla dzieci (w tym park Nevelandia z trasami saneczkowymi, lodowiskami i snow tubing), eskapady na raketach śnieżnych dniami i nocą, trasy saneczkarskie, przejażdżki skuterami śnieżnymi, лыжwiarstwo na świeżym powietrzu, ale również w wielkiej hali Palaghiaccio, w Folgarii.

Oferta noclegowa obfituje w liczne hotele (ostatnio wzbogacone o kolejne dwa obiekty**** i dwa**), centra wellness czy medyczno-kosmetyczne, pokoje do wynajęcia, apartamenty i wille.

Val di Sole

Jesteście zmęczeni jeżdżeniem stale po tych samych trasach? Wolelibyście pośmięgać każdego dnia na innym szlaku? A zatem "słoneczna dolina" Val di Sole, położona w zachodnim Trentino, między jeziorem Garda i Górną Adygą, to miejsce wprost idealne dla Was! Dzięki jednemu karnetowi i bogatej sieci bezpłatnych skibusów, można każdego dnia znaleźć się przy innej stacji i stąd wyruszyć na nowe, niezwykle krajobrazowo szlaki. Różnorodność i piękno tych tras oraz znakomite szkółki narciarskie, które oferują stacje Folgarida – Marilleva, Passo Tonale (tutaj również późną wiosną) oraz Peio, to czynniki działające niczym wabik, zachęcające do spędzenia wakacji zimowych na deskach w Val di Sole. Zwłaszcza że samo otoczenie doliny jest niezwykle malownicze – ze szlaków można podziwiać najsłynniejsze masywy górskie tzw. łuku alpejskiego: Dolomity Brenta, Adamello – Presanella oraz masyw Ortles – Cevedale.

Folgarida – Marilleva

Te dwie stacje gwarantują doskonały relaks na śniegu. Wybór obiektów noclegowych jest ogromny, a na progu niektórych z nich można już przysiąć narty i zjeżdżać! Folgarida i Marilleva oferują 26 nowoczesnych i szybko jadących wyciągów, obsługujących 32 dwie trasy (50% łatwych, 36% dla średnio zaawansowanych i 14% trudnych), których długość całkowita wynosi 62 km. To prawdziwy raj dla narciarzy i snowboardzistów. Dzięki połączeniom z Madonna di Campiglio i Pinzolo rejon narciarski powiększa się do 150 km i jest to niezwykle miejsce z widokiem na majestatyczny grzebień masywu Brenta.

Passo Tonale

Tu pojeździsz nie tylko zimą! Ten obszar pomiędzy regionem Trentino a Lombardią gwarantuje doskonałe warunki śniegowe również późną jesienią i podczas pełnej wiosny. Jest to możliwe dzięki wyciągom kursującym na słynnym lodowcu Presena, na wysokości 3000 m n.p.m. Passo Tonale oferuje 30 nowoczesnych wyciągów obsługujących 100 km tras, naśnieżanych zarówno w sposób naturalny, jak i sztuczny, dzięki sprawnie działającym, zaprogramowanym do tego celu systemom. Prawdziwym "oczkiem w głowie" tej stacji jest słynna czarna trasa "Paradiso", jeden z najdłuższych, najpiękniejszych i najbardziej emocjonujących zjazdów w całym łuku alpejskim. Poza tym w Tonale znajdują się dwa snowparki oraz szlak skicrossowy. Ta jedna z najdłuższych w Alpach, bo licząca 1000 m zjazdu trasa dosłownie naszpikowana jest skoczniami, garbami i zakrętami, na których sam widok przechodzą dreszcze! Miejscowość słynie z intensywnego życia nocnego. W jednym z licznych otwartych pubów-dyskotek można spędzić miło czas. Nie brak też typowych lokali après ski, które pozwalają na absolutny relaks przy muzyce po intensywnym dniu spędzonym na śniegu.

Peio

Ta renomowana stacja termalna położona w sercu Parku Narodowego Stelvio oferuje zapierające dech w piersiach widoki na szczyty masywu Cevedale. Miejscowość Peio, najwyższej położona gmina w Trentino, jest jednocześnie najstarszą stacją turystyczną Val di Sole, dzięki odkrytym tutaj w 1650 r. wodom termalnym. Pejo polecane jest jako miejsce wypoczynku zwłaszcza rodzinom z dziećmi, które mogą odnaleźć tutaj spokój i długie trasy, biegnące od podnóża góry Viöz ku miejscowości, oferując po drodze niezapomniane widoki. Dużym wydarzeniem w sezonie zimowym 2011/2012 jest oddanie do użytku poszerzonej trasy Valle della Mite: dzięki nowej kolejce linowej na 100 osób "PEJO 3000" (zadebiutowała rok temu), która w kilka minut wynosi turystę z miejscowości Tarlenta (2000 m n.p.m.) o 1000 m w górę, aż do masywu Ortles - Cevedale. Można potem poszusować 8 km w dół aż do Peio Fonti.

Odwiedź naszą stronę internetową
www.visittrentino.it/zimaoferty
i zarezerwuj swoje zimowe wakacje!

W Buenos Aires wszystko jest wielkie: ulice, budynki, stadiony, place i port. To istny trzynastomilionowy potwór... jakże fascynujący.



Mirosław Olszycki

MIASTO POMYŚLNEGO WIATRU

FOT. SHUTTERSTOCK



Różni moi rozmówcy, w tym Polacy, którzy mieszkają w Buenos Aires od wielu lat, nie potrafią odpowiedzieć na pytanie, co ich tutaj zatrzymało. Sprzyjający klimat, dobra kuchnia, praca, której gdzie indziej brakuje, dogodne położenie? A może szansa zatańczenia tanga na ulicy, w centrum pięknego miasta?

QUERANDIES, TWARDY ORZECH DO ZGRYZIENIA

Prawdopodobnie pierwszymi osadnikami na obszarze Buenos Aires byli indiańscy Querandies, wywodzący się od Indian Guarani z terenów obecnego Paragwaju. Querandies oznaczało ludzi doskonale biegających, wysokich i wojowniczych; potrafiących też zwinnie

chu, którego zadaniem była walka z duchem zła, czyli Gualichu.

Kiedy w roku 1516 hiszpański wódz Juan Solís zszedł z okrętu w pobliżu ujścia La Platy do oceanu, krajowcy przeciwstawili się obcym z wrodzonym impetem i niesłychaną determinacją, zmuszając ich do odwrotu. Podobne zdarzenie kilka lat później spotkało słynnego portugalskiego żeglarza, Magellana. Dopiero w 1536 udało się pierwszemu Europejczykowi, Pedro Mendozie, zejść na ląd i na nim dłużej pozostać. Mendoza, popierany przez króla Hiszpanii Karola, zbudował w pobliżu ujścia La Platy (zwanej wówczas Río del Solís) miasto-twierdzą. Na krótko, bo Indianie Querandies jeszcze tego samego roku pokonali Hiszpanów w okrutnej bitwie i zburzyli wszystko, co zdołali oni wznieść.



NOWY ŚWIAT PO HORYZONT

W trzynastomilionowej metropolii mieszka blisko jedna trzecia ludności Argentyny.

upolować nawet guanaco, czyli lamę. Spośród ludów Ameryki Południowej wyróżniali się m.in. tym, że opanowali umiejętność szycia ubrań ze skóry, w tym tzw. quillango – rodzaju sukni okrywającej ciało od głowy aż po kolana. Znali też metodę budowania namiotów ze skór. Wierzyli w dobrego boga, zwanego Soy-

Mieszkańcy Starego Kontynentu zostali wygnani z ziem Argentyny, a pojawili się w tym samym miejscu dopiero czterdzieści cztery lata później. W 1580 hiszpański konkwistador, Juan de Garay, wspierany przez dobrze zorganizowaną i uzbrojoną grupę walecznych przyjaciół, rozpoczął drugie zakładanie

Buenos Aires. Hiszpan zdawał sobie sprawę z dobrego, strategicznego położenia miasta, które mogło stać się w przyszłości portem – oknem na świat dla całego wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej.

MIASTO CIĘŻKIEGO POWIETRZA

Hiszpanie zbudowali miasto, opierając jego plany na założeniach, które od wieków stosowali w swojej ojczyźnie. Zaczęli od wyznaczenia wolnej przestrzeni dla placu głównego, wokół którego rozmieścili najważniejsze budowle, czyli gmach kościoła, siedzibę gubernatora, ratusz, budynek straży miejskiej, spichlerze i oczywiście budynki mieszkalne. Nie zapomnieli o architektonicznym i arty-

budynków. Charakteryzuje się wybujałą ornamentyką, eliptycznymi medalionami, festonami, kręconymi słupami z girlandami i pilastrami. Dochodzi do tego monumentalność rzeźby oraz bogactwo malarstwa o motywach religijnych i historycznych. To tylko niektóre elementy architektury Buenos rozwijającej się od końca XVI wieku.

Juan de Garay nazwał założone przez siebie miasto Ciudad de La Santísima Trinidad y Puerto de Santa María del Buen Ayre, czyli Miasto Przenajświętszej Trójcy i Port Maryi Panny Pomyślnego Wiatru. Ostatnie dwa wyrazy tej przydługiej nazwy pozostały do dziś. Niektórzy tłumaczą je inaczej, jako Buenos Aires, czyli Dobre (Czyste) Powietrze. W żaden sposób nie pasuje to jednak do współczesnych realiów stolicy Argentyny.

NIE TYLKO DLA PAŃ

Puente de la Mujer, czyli Most Kobiet, zaprojektował hiszpański architekt Santiago Calatrava. Jest mostem dla pieszych, obojga płci.



FOT. MIROSLAW OLSZYŃSKI



FOT. MIROSLAW OLSZYŃSKI

stycznym wymiarze stawianych budowli. Stąd, widoczna do dziś, bujna, dekoracyjna sztuka hiszpańskiego baroku, skompilowana twórczo z potrzebami rodzącego się Nowego Świata.

Styl ten, nazywany niekiedy kolonialnym, rozwinął się i spełnił między innymi w postaci bogatych frontowych elewacji wznoszonych

Podeksycytowany i w pełni gotowy do filmowo-fotograficznej ekspedycji wyruszyłem rano z hotelu do miasta, ale mój pierwszy zapal szybko przygasł pod wpływem zaduchu nie do wytrzymania. W powietrzu brakowało tlenu. Panował niemiłosierny upał, a przez centrum ośmioma pasami ruchu w jedną

HARMONIA KONTRASTÓW

Dziewiętnastowieczne zabytki Buenos łączą się ze szklano-aluminiową architekturą miasta. Na tym zdjęciu za pomocą drabiny.

FOT. MIROSLAW B. SZYCKI



stronę płynęła rzeka samochodów. To właśnie w Buenos Aires – obok powodzi aut – spaceruje się chodnikiem najszerszej ulicy świata. Avenida 9 Julio w najszerszym miejscu mierzy 200 metrów. W 1936 roku wzniesiono przy niej imponujący, 70-metrowy obelisk, upamiętniający pierwszą nieudaną próbę założenia miasta w roku 1516. Równie ważna jest Avenida de Mayo, która z przylegającymi do niej ulicami (Calle Lavalle i Calle Florida) oraz dzielnicą Santa Fe tworzy Microcentro, biznesowe centrum tego olbrzymiego miasta.

PŁATKI METALOWEJ RÓŻY

Oglądając najwspanialsze miejsca i zabytki Buenos Aires, z Teatrem Kolumba na czele, z jedną z największych sal operowych świata czy pałacem prezydenckim Casa Rosada, docenić można ogrom i architektoniczny rozmach tego miasta. Oprócz dwóch wymienionych gmachów a szczególną uwagę zasługują też: katedra pw. Trójcy Przenajświętszej, z grobowcem Joségo de San Martín, argentyńskiego bohatera walk o niepodległość, bazylika Nuestra Señora de La Merced z roku 1602, będąca perłą sztuki barokowej, oraz Narodowe Muzeum Sztuk Pięknych z dziełami Moneta i Van Gogha.

Nowoczesność i przeszłość przenikają się tutaj jak nigdzie indziej na świecie. W przeszklonych, współcześnie wzniesionych budynkach, niczym w zwierciadle czasu, odbijają się kopuły starych kościołów, gzymsy XIX-wiecznych pałaców, a także wybujała roślinność. Wysokie na kilkadziesiąt metrów palmy sięgają najwyższych pięter, stanowiąc o urodzie miasta, w którym, oprócz wspaniałych budowli, prawie wszędzie znajdują się przestronne i dobrze utrzymane parki. Miejsca wypoczynku o jakich my, Europejczycy, możemy tylko pomarzyć.

W pobliżu Muzeum Sztuki obejrzeć można najdziwniejszy pomnik w mieście – Fontana Floralis Generica, dzieło zaprojektowane przez argentyńskiego architekta Eduardo Catalano. Płatki metalowej róży otwierają się w dzień i zamykają w nocy, niczym prawdziwa roślina. Dzieło świadczy nie tylko o wrażliwości artysty, ale przede wszystkim o wyczuleniu Argentyńczyków z Buenos Aires na świat,



FOT. SHUTTERSTOCK

który właśnie odchodzi. To świat pięknej, tropikalnej, ale jednocześnie degradowanej przez cywilizację, bogatej roślinności – żywego symbolu Ameryki Południowej.

MISTYKA FUTBOLU, MISTYKA TAŃCA

Od początków XIX wieku fala europejskiej emigracji zalewała argentyńską ziemię. Oprócz Włochów, Hiszpanów, Niemców, Irlandczyków, Greków, Ukraińców i innych narodów z Europy uczestniczyli w niej również mieszkańcy ziem polskich, objętych wówczas

zaborami, a później emigranci z odrodzonej, lecz niezamożnej II Rzeczypospolitej.

Docierali do Argentyny statkami i zwykle kierowali się do stolicy państwa, skąd albo udawali się w dalszą podróż, albo tutaj pozostawali. Większość osiedlała się w portowej dzielnicy La Boca, położonej na południowy wschód od centrum miasta. Przyjmuje się, że położenie La Boca odpowiada miejscu, w którym Pedro de Mendoza założył pierwszą osadę w roku 1536. W tym miejscu marynarze-kolonizatorzy budowali swoje pierwsze domy, ubarwiane farbami używanymi do malowania statków – każdy w innym kolorze.

MECHANICZNY KWIAT

Stalowo-aluminiowa rzeźba „Floralis Genérica” ożywa codziennie o wschodzie słońca, otwierając swoje płatki. 18-tonowy kielich po rozłożeniu ma 32 metry średnicy.



FOT. WARSZAWA OLSZACK

W SERCACH I NA MURACH

W La Boca, jednej z najstarszych dzielnic Buenos Aires, urodził się Diego Maradona. Tu właśnie znajduje się słynny stadion Boca Juniors.

La Boca to prawdziwe miasto w mieście, a nawet coś więcej, albowiem ma tutaj swą siedzibę najbardziej znany piłkarski klub Argentyny Boca Juniors, w którym kontynuował swą wielką przygodę z futbolem słynny Diego Maradona. W całym mieście pełno jest jego portretów – na ulicach, w hotelach i sklepach.

Sam genialny Messi, najbardziej rozpoznawalny dziś w Europie Argentyńczyk, nie dorównuje mu jeszcze popularnością.

Ściskając w dłoni moje futbolowe zakupy dla syna, jeszcze tego samego dnia znalazłem się w najstarszej dzielnicy Buenos Aires – San Telmo. To raptem kilka ulic od piłkarskiej Republica La Boca i zarazem całkiem odmienna rzeczywistość – kawiarnie, restauracje, sklepy z antykami, place i parki, wypełnione kramami ze starociami.

Właśnie w San Telmo można bez skrępowania zatańczyć na ulicy – choć na chwilę oderwać się od rzeczywistości i zanurzyć we wspomnieniach o czymś, co utracone. Tango to prawdziwa mistyka. Trochę jak futbol, chociaż jednak inna...

Tym emocjom poddałem się i ja, przybywszy z odległego kontynentu, którego wysłannicy próbowali przed wiekami stworzyć tutaj Nowy Świat. Więc zatańczyłem tango w Buenos Aires – z rodaczką, Polką, emigrantką z solidarnościowych lat osiemdziesiątych. Ona już dobrze знаła rytm tego wyjątkowego tańca. A ja? Ja się starałem. ○



DUSZA TANGA

Tango to magiczna mieszanka wielu brzmień. Słychać w nim ból samotności gaucha i tęsknotę imigrantów, ruch miasta i drzenie wiatru argentyńskiej pampy.



ROZMOWA Z **OLGĄ BOŃCZYK** aktorką, wokalistką

Jedziesz do Szczyrku, by oczyścić swój organizm. Nie rozumiem, jak można się tak katować.

Byłam tam już dwa razy. To jest detoks ajurwedyjski, czyli głodówka wspomagana ziołami. Są tacy, którzy jadą tam, żeby się odchudzić. I muszę przyznać, że efekty są spektakularne. No, ale muszą być, skoro przez siedem dni nie dostajemy nic do jedzenia.

Czyli all exclusive za bardzo duże pieniądze.

Jest jednak grupa osób, które jadą w innym celu. W zeszłym roku zdecydowałam się na ten detoks, bo czułam, że pozbywając się toksyn, usunę również wiele problemów, które zaprzętały mi głowę. Wiem, że to może brzmieć dziwnie, ale po 7 dniach głodówki zobaczyłam cały świat w innych kolorach. Problemy, które dotąd wydawały się nie do pokonania, przestały straszyć mnie jak widma. Wiedziałam, że od tamtej chwili nic już złego nie może mnie spotkać, bo zaczęłam wierzyć w siebie. Przez całe życie nie zrobiłam tyle zawodowo, co przez ostatni rok. Nie przypominam sobie siebie tak spokojnej.

Twoje ostatnie lata zawodowe to pasmo sukcesów?

Na pewno ostatni rok. Premiera spektaklu „Za

rok o tej samej porze” to moje zrealizowane marzenie jeszcze sprzed dwudziestu lat. Nagrałam płytę z piosenkami Kaliny Jędrusiak, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Teraz ruszam w trasę koncertową po filharmoniach. Dzisiaj nie ma już takiej rzeczy, której bym się bała. I nawet gdyby przestały dzwonić telefony, wiem, że coś bym wymyśliła – maluję obrazy, uwielbiam

gotować, więc w razie czego mogłabym otworzyć knajpę... czemu nie?

Nie bałabyś się?

Zawsze jest ryzyko. To, co robię, też jest ryzykiem. Dwa lata temu straciłam głos. Musiałam się poddać operacji strun głosowych, która mogła się skończyć utratą warsztatu pracy. Zdałam sobie sprawę z tego, że zawód, który uprawiam, mój głos, to jest tak cienka nitka, że bez problemu można ją zerwać.

Nasze pierwsze spotkanie... poznałem Cię jako wokalistkę zespołu Spirituals Singers Band.

Do tamtych lat podchodzę z wielką atencją i szacunkiem. Uważam, że one dały mi fundament pod to, co dzisiaj robię.

Z zespołem dużo podróżowałaś.

Jak pamiętasz, zaczynałam jeździć, kiedy w Polsce była ogromna bieda. Pamiętam pierwsze wyjazdy do zachodnich Niemiec i ludzi w kawiarenkach pijących kawę, jedzących ciastka – pieniądze, które trzeba było wydać za takie danie przerażały mnie. To jakby wydać roczną pensję na jeden posiłek. Na proszonej kolacji byłam zachwycona margaryną do smarowania chleba, bo w Polsce takiej nie było. Na stole pojawiło się również prawdziwe masło. Zapytałam gospodarza, dlaczego używa masła, a nie margaryny. Odpowiedział: „bo mnie na masło stać”. Wyjeżdżając na Zachód, zachwycaliśmy się ich mortadellą, salami, margaryną i nadmuchanymi bułkami. Dopiero dzisiaj rozumiem, dlaczego nasz gospodarz prosił, żebyśmy mu zawsze przywozili kiełbasę krakowską, czyli tę prawdziwą.

Zauważyłaś, jak dużo mówimy o jedzeniu? Wiem, że prowokuje do tego moje nastawienie człowieka, któremu wszelkie detoksy są obce. Co lubisz jeść?

Jestem miłośniczką owoców morza. Uwielbiam też włoską kuchnię. W Toskanii pokochałam bardzo proste jedzenie, jak makaron z jednym składnikiem. Bardzo lubię też kuchnię azjatycką.

Moim zdaniem chińskie jedzenie najlepiej smakuje w Europie. Po tygodniu pobytu w Chinach chciałem spróbować czegoś europejskiego. Oto kolacja w hotelu. Na stole chińszczyzna i nagle obok pojawia się miska z czymś, co wygląda jak rosół. Przyciągnąłem ją bliżej siebie, żeby ktoś przypadkiem mi jej nie odebrał, po czym łaskomie spróbowałem tego rosółu. Oczy natychmiast wyszły mi na wierzch. Wnętrznosci miałem poparzone. To był gorący łój. Mimo wszystko wolałem to niż gołąbka, który patrzył na mnie z talerza.



Zdjęcie: N. Olg. Bończyk

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, spiesznie.



Julia Michalczewska

ODLOTOWA PRAGA

FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

Praga zachwyciła mnie po raz kolejny. Tym razem nie Złotą Uliczką czy Mostem Karola, z których słynie. Zobaczyłam i poczułam miasto, jakiego nie znałam.



Praga jest szóstym najczęściej odwiedzanym miastem Europy. Stolica Czech nie odniosła prawie żadnych zniszczeń podczas II wojny światowej, więc większość jej zabytkowej architektury jest autentyczna. Praga to zróżnicowana kolekcja architektury: gotyckiej, renesansowej, barokowej, neoklasycystycznej, secesyjnej, kubistycznej i współczesnej. Od 1992 roku rozległe, historyczne centrum Pragi wpisane jest na listę światowego dziedzictwa UNESCO.



FOT. JULIA MCHALCZYŃSKA

NA LEWO MOST, NA PRAWO MOST

Do Czech nie wpływa żadna rzeka, wszystkie stąd wypływają. Najdłuższą jest Wełtawa, mierząca 435 km. Przepływając przez Pragę, mija aż 18 mostów, zaś o każdym z nich można opowiedzieć osobną historię. Najstarszym jest Most Karola i z niego rozpościera się najlepszy widok na Małą Stranę, Wyszehrad czy wzgórze Petřín i Zamek Praski. Z kolei most Czechowa w stylu art nouveau jest najkrótszy, a przez most Pallackiego w latach 1911-1912 chodził do pracy Albert Einstein, który wykładał na niemieckim uniwersytecie w Pradze.

Wieczne rejsy po Wełtawie są idealną alternatywą dla tych, którzy chcą zobaczyć Pragę z innej perspektywy, bez konieczności przemierzania jej piechotą, za to przy dobrym jedzeniu i świetnej muzyce. „Jazzboat” wita gości swarakiem, czyli grzonym winem z cynamonem i goździkami. Za

25 euro oferuje prawie trzygodzinne nocne przejażdżki przy akompaniamencie najlepszych lokalnych muzyków, nie tylko jazzowych. Można też wybrać się w godzinny rejs w ciągu dnia (8 euro), a w czasie upałów popływać po Wełtawie rowerem wodnym.

U KSIĘCIA NA DACHU

Z wieży ratusza widać też gości bawiących się w restauracji na dachu hotelu „U Prince”.



FOT. JULIA MCHALCZYŃSKA



KONCERT NA TRZY TARKI

W restauracji „U Marčanů” muzycy prezentują stare ludowe instrumenty i uczą na nich grać. Zdolniejszych gości zapraszają na parkiet do wspólnej zabawy.



ČESKÉ JÍDLO A PITÍ

Czechy słyną z piwa, które doceniane jest na całym świecie. Nie dziwi więc, że nasi południowi sąsiedzi są w tej „dyscyplinie” mistrzami świata, spożywając średnio w roku 160 litrów piwa na osobę. Jest to o 30 litrów na głowę więcej niż u wicemistrzów, Niemców. Wzrzenie piwa przechodzi w Czechach swój renesans. Funkcjonuje tu prawie 50 dużych browarów i 120 małych. Rynek piwny charakteryzuje się dużą różnorodnością gatunków. Wiele marek lokalnych ma własne receptury i oryginalne smaki, a niektóre piwa

produkowane są na przykład tylko na sezon zimowy.

Mimo że kuchnia czeska nie przoduje w europejskich rankingach, to w Pradze można zjeść smacznie. Kameralna restauracja „Alcron” w hotelu Radisson Blue, prowadzona przez Romana Paulusa, otrzymała w tym roku najważniejsze wyróżnienie w branży kulinarnej – gwiazdkę Michelin. Jest drugą restauracją w Czechach, którą przewodnik Michelin docenił – na razie żadnej polskiej to się nie udało. Jedzenie serwowane przez Paulusa nie ma jednak nic wspólnego z czeskim. Restauracja „Alcron” słynie bowiem z ryb i owoców morza. Dla kulinarnych fanatyków hotel oferuje lekcje gotowania u samego mistrza Romana, który jest niezwykle skromnym i miłym człowiekiem. Po godzinnym kursie łatwo przyznać, że na tę cenną gwiazdkę zasłużył.

Fanom tradycyjnej czeskiej kuchni (i dobrej zabawy) polecam jedną z najstarszych

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

OCH, KAROLI!

Wełtawa i Most Karola to dwa symbole Pragi.

restauracji w Pradze „U Marčanů”. Mimo iż restauracja znajduje się na obrzeżach miasta, niezależnie od dnia tygodnia pełna jest zagranicznych gości. Przyciąga ich swojskie jedzenie, dobre wino z morawskich winnic oraz niepowtarzalny, folklorystyczny wystrój. Poza naszym niewielkim stolikiem, przy którym siedzieli goście z Japonii, Finlandii, Turcji i Korei Południowej, tego wieczora biesiadowały duże grupy ze Stanów, Australii, Niemiec i Rosji. Od momentu gdy goście usiedli przy stołach, w ich kieliszkach nawet przez chwilę nie było widać dna. Zręczny kelner, gdy tylko zauważył, że z kieliszka ubyło, dolewał do pełna. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że szklane baniaczki z winem trzymał na barkach. Wzdłuż przedramienia biegła wąska rurka, której koniec zatykał kciukiem. Gdy tylko namierzył kieliszek, nawet z odległości kilkudziesięciu centymetrów, puszczał kciuk i łał... Taki sposób serwowania trunku jest typowy dla winnic na Morawach.

W trakcie kolacji ludowy zespół grał, śpiewał i tańczył. Każdy z gości mógł spróbować swoich sił w grze na starodaw-

nych instrumentach oraz w tańcach ludowych. Chętnych nie brakowało. Przy głównym instrumencie – cymbałach – siedziała energiczna i zabawna, zawiadująca całym zespołem kobieta, która mrugnięciem oka wabiła kelnera z baniaczkami. Gdy ten podchodził, otwierała usta, nie przestając grać, a kelner z rurki nalewał do nich wina. Poza czeskim repertuarem każdy z gości (może poza tym z Korei Południowej) usłyszał melodię ze swojego kraju i jeśli tylko miał ochotę, śpiewał narodowe pieśni.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

NOWE LOGO

W galerii Manto można samemu stworzyć małe dzieło sztuki. Płytkę szkła wypalana jest w specjalnym piecu i formowana w kształt talerza. Czasami, po wypaleniu, kształty i kolory tworzą zaskakująco „nową jakość”.



SALA ODLOTÓW

Instruktor uczy najpierw, jak utrzymać ciało w odpowiedniej pozycji. Następnie zwiększany jest strumień powietrza, który unosi nas 5-6 metrów w górę.

NIEŻŁA SZTUKA

Praskie galerie prezentują głównie sztukę dawną. Najbardziej znanymi są Galeria Narodowa w Pałacu Sternberg, galeria w klasztorze św. Jerzego oraz ta w Trojskim Zamku. W 2008 roku dla miłośników sztuki współczesnej otwarto prywatną galerię sztuki, architektury i projektowania DOX. Głównym celem pomysłodawców było stworzenie żywego centrum kultury. W ciągu czterech lat w galerii DOX zorganizowano prawie sto wystaw artystów z całego świata, w tym także z Polski, oraz ponad trzysta towarzyszących programów edukacyjnych. Galeria ma też bogatą ofertę dla dzieci, rodzin i szkół. Możliwe jest nawet zorganizowanie „artystycznych” urodzin.

Czechy słyną z wyrobów ze szkła. W samym centrum starego miasta znajduje się wyjątkowa Galeria Manto, w której podziwiać można dzieła Tonego Manto. Ten czeski artysta zasłynął podczas wystawy Expo 2010 w Szanghaju, gdzie pokazał swoje instalacje. Właścicielami jego dzieł są między innymi Hillary Clinton i papież Benedykt XVI. W galerii można kupić kieliszki i naczynia projektu Manty, obejrzeć film o jego pracy, a także stworzyć własne małe dzieło sztuki.

Organizowane są tu miniwarsztaty artystyczne. Podczas nich turyści-artyci malują, co im wyobraźnia podpowie na płycie szkła, która następnie wypalana jest w specjalnym piecu, w temperaturze 800 stopni i formowana jako płaski talerz. Kolory i kształty tracą nieco swój pierwotny wygląd, co najczęściej wpływa na korzyść dzieła.

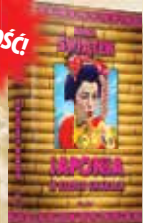
W SZKLANEJ TUBIE

Nietypową, jedyną w tej części Europy atrakcją ma do zaoferowania Skydivearena. Centrum reklamuje swoją usługę jako sport ekstremalny, który jest bezpieczny dla wszystkich, nawet dzieci. W szklanym tunelu o średnicy 4,3 m i wysokości 14 m chętni wrażeń mogą unieść się w strumieniu powietrza, które pędzi z prędkością do 270 km/h. Latanie w tunelu powietrznym przeznaczone jest – jak zaznaczają organizatorzy – dla wszystkich zdrowych fizycznie, w wieku od 5 do 100 lat. Zabawa odbywa się na bezpiecznej wysokości i pod stałym nadzorem profesjonalnych instruktorów.

Pragę odwiedza rocznie kilka milionów turystów. Każda jej dzielnica jest fascynująca i każdy znajdzie tu coś dla siebie, także ten, kto zechce się dobrze zabawić. ◯

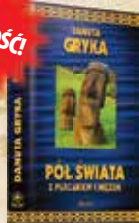
KSIAŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”

NOWOŚĆ!



Anna Świątek
**JAPONIA
W SZEŚCIU SMAKACH**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!

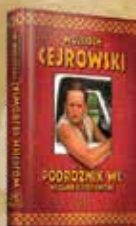


Danuta Gryka
**PÓŁ ŚWIATA
Z PLECAKIEM I MĘŻEM**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Jerzy Pecold
**PADRE, STRZELBA,
RÓŻANIEC I KOŃ**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK WC
WYD. II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł



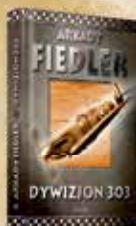
Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



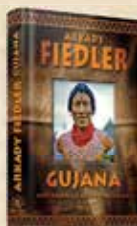
Antonio Halik
**Z KAMERA I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



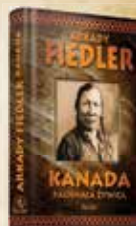
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



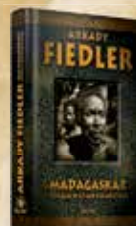
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł,
15 zł (opr. miękka)



Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORAĆA
WIEŚ AMBINANITEŁO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryń
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga Choszcz
**PROWADŹ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



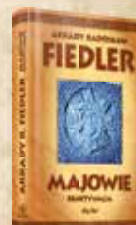
Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Robb Maciąg
**ROWEREM
W STRONĘ INDII**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
**DALEJ
OD BUENOS**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Arkady Radosław Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł

GÓRA

Wojciech Albiński



FOT. SHUTTERSTOCK

– Skąd biali wiedzieli, że tam leży nasz stary cmentarz pobitewny?

– Przecież biali prowadzą księgi, w których to musi być zapisane. Biali mieli strzelby, a my strzelaliśmy z luków – odpowiedział Siphó. Obaj mężczyźni poruszali się z trudem, ostre kamienie raniły im stopy.

Za ich plecami wznosiła się Góra. Wyglądała jakby kawałek Wysokiego Weldu potężne siły wyniosły pod niebo. Brzegi postrzępione, a dalej znów płaskowyż.

Joseph przytakiwał. Choćby nawet nie zgadzał się z Siphó, najpierw wypadało przytaknąć. Teraz szli w kierunku *township* przeznaczonego dla czarnych. Proszono go, aby uzdrowił dziecko. Siphó wiedział, jakich należy

użyć odczynów, jakich ziół i dlatego matka chorego wysłała po niego chłopaka z sąsiedztwa.

Na dalekim horyzoncie zobaczyli czarny punkt i wkrótce usłyszeli warkot silnika. Była to straż graniczna z Lesotho. Jeden biały i jeden czarny. Zaproponowali, że ich podwiozą do miasteczka. Czy znali Siphó, który przecież dopiero ostatnio zszedł z gór? Czy spojrzeli na jego stopy? W ich land roverze znajdzie się miejsce. Oczywiście nie siedzieliby z przodu, ale z tyłu, pomiędzy paczkami. Kaprał był biały, ale jego czarny towarzysz dobrze znał ścieżki tego kraju. Siphó zapytał go, skąd pochodzi.

– Z Warran – otrzymał niechętną odpowiedź. – Nie stąd.

Dojechali do *township*. Chcieli wygłosić długie podziękowanie, ale kapral im przerwał.

– *Spiesz mi się* – rzucił.

Trafili łatwo, bo mieli na kartce wypisany adres. Numer domu 101, ulica trzecia. W oknach paliło się światło, młoda kobieta wybiegła, aby ich powitać.



– *To ty jesteś doktor?* – bardziej wskazała na Sipho, niż zapytała. Podała dzbanek wody i każdemu miskę *pap*. Ale Sipho spieszo było zobaczyć chorego, ledwo zrobił ślad na białym *pap* i pośpiesznie podniósł się. Dopiero po długim czasie wyszedł i nie był jeszcze pewny diagnozy. Na szczęście *muti* miał niezawodne i pewny był, że uleczy chłopaka.

Jego wzrok padł na parapet okienny. Stały tam rzędy lekarstw, które przepisał biały doktor. Widocznie on też oglądał chorego.

Chłopiec miał rozpalone czoło, dolegała mu gorączka. Mógł mieć dziesięć lat. Kiedy Sipho coś do niego powiedział, odpowiedział przytomnie. Sipho otworzył swoją torbę podrózną i wyciągnął z niej duży, biały korzeń. Prze-

ciągnął nim kilka razy po twarzy chorego, chłopak otworzył oczy.

W *township* robiło się ciemno. Jedno po drugim gasły w oknach światła. Używano głównie lamp naftowych. W oknach domów widać było, jak zbliżają się do nich cienie kobiet, jak dmuchnięcie gasi wąty płomyk. W miarę jak światła gasły, cichła też jazzowa muzyka z aparacików na baterie.

Ann, matka chorego, będzie z nim spała w jednej izbie, a Sipho, Joseph i jeszcze dwóch domowników w tej, w której siedzieli.

Jutro, zapowiedziała Ann, Sipho zobaczy trzech innych chorych i jeśli ma ze sobą dość *muti*, to od razu ich uzdrowi.

Wkrótce wiadomość o cudownych zdolnościach „Starca z Gór”, bo tak nazywali teraz Sipho, rozeszła się także po białym miasteczku. Matki martwiły się tylko, czy ma ze sobą wystarczającą ilość *muti*. Stare kobiety pamiętały, że „Starcy z Gór” mieli często cudowne zdolności lecznicze. Była to intuicja oraz znajomość korzeni i ziół. Każdy miał wspomnienia z dzieciństwa, w których dobry *bantu* przywędrował z gór.

Betty była służącą pani Brink, białej lady w białym miasteczku. Znalazła Sipho i pouczyła go, jak powinien się zachowywać. Pierwsza rzecz – będzie wchodził przez kuchnię, pan domu nie zniósłby widoku czarnego w salonie. Druga rzecz – ma chorego nie dotykać, badał go już biały doktor. Najlepiej, gdyby wyruszyli natychmiast, bo droga jest daleka.

Gdy dotarli, zapadał już zmrok. Betty знаła drogę między białą dzielnicą a czarnym *township*. Trasa była bardzo uczęszczana, jeździły tam nawet taksówki.

Sipho usiadł na stołku w kuchni, czekał na białą madam. Do kuchni zaczął dobijać się owczarek alzacki. Betty uspokoiła Sipho, byle psa nie drażnił, to on też nie będzie niebezpieczny.

Na madam Sipho zrobił dobre wrażenie, poprowadziła go w głąb mieszkania. Betty szła za nimi. Na końcu korytarza był pokój chorej dziewczynki. Dziecko nie spało, Betty przygotowała ją na wizytę, tłumacząc, że Sipho ją uzdrowi. Wkrótce nawiązała się nić porozumienia między starym człowiekiem a dziewczynką. Wychodząc, Sipho przekazał matce małą buteleczkę z *muti*. Bardzo na to czekali, gdyż wiadomo było, że *muti*, które daje Sipho, jest niezawodne. Białe dzieci i czarne leczył tym samym lekarstwem.

Pytano go, co jest w tym *muti*. Nigdy nie odpowiedział. Byli tacy, którzy podejrzewali, że sam nie wie. Jedyne, co Sipho powiedział, to że nie buduje się *township* ani białych dzielnic na cmentarzu. U zbocza góry sto lat temu odbyła się wielka bitwa, zginęło wielu czarnych wojowników, a Burowie mieli broń palną i wyszli zwycięsko. ○

ŚLADAMI BIESZCZADZKICH ANIOŁÓW

Mikołaj Gospodarek

NIM OPADNĄ LIŚCIE

Wiedziałem, że po nocnym mrozie liście zaczną spadać z drzew. Dlatego gdy pierwsze promienie zapaliły góry na czerwono, stałem już na szczycie. W drodze powrotnej szlak rzeczywiście był zasypany liśćmi. Widok z Połoniny Caryńskiej na Bieszczadzki Park Narodowy.



RANNE WSTAŁY ZORZE

Poranne słońce oświetla rozległe połoniny. Przymrozek sprawia, że powietrze staje się przejrzyste. Bieszczady widać jak na dłoni. Z bajkowością tego obrazu kontrastuje myśliwska ambona.

Fotografia została wykonana w okolicach miejscowości Werlas w powiecie leskim, niedaleko Jeziora Solińskiego.



CISZA JAK TA

W połowie października Bieszczady pustoszeją, a jedynym wrogiem ciszy jest hulający na połoninach wiatr. Jesienny chłód i cień na północnych stokach sprawiają, że pierwszy śnieg pozostaje tu do zimy.
Widok na Połoninę Caryńską z Chatki Puchatka znajdującej się na Połoninie Wetlińskiej.



BIESZCZADZKIE RETORTY

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK / EDYCJA ŚWIĘTEGO PAWŁA

Wypalanie węgla drzewnego to trudne i skomplikowane zajęcie. Potrzeba dużej wiedzy i doświadczenia, żeby drewno zwęglić, a nie spocielić. Piece drzewne w miejscowości Muczne w powiecie bieszczadzkim.



PARA JACHTÓW

Słońce wyszło znad gór, mgła zaczęła się podnosić. Zatrzymałem samochód. Przeskoczyłem barierkę, spadłem z porośniętego pokrzywami zbocza i wykonałem to zdjęcie.
Fotografia z okolic Polańczyka.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK / EDYCJA ŚWIĘTEGO PAWŁA

ZŁOTA POLSKA BRZOZA

W Bieszczadach szukam miejsc dzikich i odludnych. Do miejscowości Roztoki Górne trafiłem w środku nocy. Gdy obudziłem się nad ranem i ujrzałem ten widok, pomyślałem, że chyba nadal śnię.

Kazimierz Grochowski trzydzieści lat życia spędził na Dalekim Wschodzie. Był inżynierem górniczym, geologiem i poszukiwaczem złota. W 1916 otrzymał wieloletnią koncesję na wydobywanie złota, srebra i kamieni szlachetnych w Mongolii. Niespokojne czasy zetknęły go z legendarnym baronem Ungernem, którego stał się pomocnikiem.



ZŁOTO BARONA UNGERNA

Pracował w kopalniach w południowej Rosji, kiedy spotkał Polaków, wracających z dalekiej Mandżurii, gdzie walczyli przeciwko Japończykom. Zaintrygowany opowieściami o pięknie przyrody i dziewiczości terenów nad Amurem, postanowił tam wyjechać.

Pracę prospektora, czyli poszukiwacza złota, rozpoczął w 1906 we Władywostoku. Wkrótce podpisał umowę ze szwajcarsko-rosyjską firmą górniczą J. Brynner & Co., której dyrektorem był ojciec późniejszego amerykańskiego aktora – Yula Brynnera.

Koncesja wielka jak Dania

W roku 1909 otrzymał propozycję pracy w wielkim międzynarodowym koncernie The Upper Amur Gold Mining Co., obejmując tam stanowisko kierownika poszukiwań geologicznych. Korzystając z osłabienia Chin po wojnie opiumowej, Rosja zagarnęła terytoria, znane później jako Kraj Nadamurski i Kraj Ussuryjski. Na tych obszarach koncentrowała się działalność Grochowskiego. W 1915 powierzono mu organizację filii koncernu w Mongolii. Siedzibą The North East Mongolia Concession został Hajtar. Był to szczególny

okres w historii tego kraju, kiedy rewolucja 1911 roku w Chinach wywołała powstanie w Mongolii przeciw rządowi w Urdze (dzisiejszy Ułan-Bator), narzuconym przez cesarzy mandżurskich.

W 1916 r. dzięki znakomitym stosunkom z nowymi władzami otrzymał zgodę na własne wydobywanie kruszców aż do roku 1966. Imponujący był też rozmiar koncesji – 40 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli powierzchnia obecnej Danii.

W 1917 dostał zaproszenie Szwedzkiej Akademii Nauk, aby wziąć udział w ekspedycji do Kraju Urianchajskiego (dzisiejsza Tuwa), w dorzeczu Jeniseju. Grochowski, znany już geolog, miał, jako rosyjski poddany, dostęp do map wojskowych Sztabu Generalnego, z których korzystał także w trakcie poprzednich ekspedycji. Ta okoliczność zetknęła go później z baronem Romanem Ungernem von Sternberg, dowódcą słynnej Azjatyckiej Konnej Dywizji (zwanej potocznie „Dziką Dywizją”), złożonej z mieszkańców dalekowschodnich rejonów rosyjskiego imperium.

Platyna, czyli... wolfram

Wojna i rewolucja w Rosji przerwały ekspedycję. W Czycie, gdzie rządził teraz

POLACY NA DALEKIM WSCHODZIE AZJI.



Książe Shen i jego ministrowie w gościnie u polskiego koncesjonarjusza w Hajlarze (Barga, Mongolja).

ataman Siemionow, Grochowski zostaje aresztowany i wtrącony do więzienia pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec. Podczas rutynowej kontroli w jego bagażu znaleziono mapy, a do tego jego studia w Niemczech... Wystarczyło na sąd polowy.

Jest lato 1918 roku, gdy Hajłar zajmują białe oddziały barona Ungerna, z pochodzenia Niemca bałtyckiego. Jest on nominalnym zwierzchnikiem Siemionowa. Przebywająca tam, a urodzona w Kurlandii, żona Grochowskiego zna rodzinę Ungern-Sternbergów i zwraca się do barona z prośbą o pomoc w uwolnieniu męża. Ungern interweniuje. Ma w tym własny cel. Dostaje wiadomość, że jego ludzie zarekwirowali na Syberii ładunek 50 ton platyny. Z Rosji pochodziło 90 proc. wydobycia tego metalu i miała ona tradycje bicia z niego monet o najwyższych nominałach. Ungern zdaje sobie sprawę, że uniezależni się finansowo od trzymających kasę wojskowych. Grochowski otrzymuje głąb nieetykalności i wyjeżdża jako jego osobisty wysłannik do Czyty. Niestety, rzekoma

platyna okazuje się być wolframem, który jest za twardy na bicie monet.

Jesienią 1919 autonomia Mongolii przestała istnieć, gdyż teokratyczny rząd „Żywego Boga”, Bogdo Gegena, zgodził się na wpuszczenie do Urgi wojsk chińskich. Chińczycy wprowadzili w Mongolii dyktaturę wojskową. Ale Ungern, za pośrednictwem swych mongolskich i tybetańskich doradców, wszedł w porozumienie z Bogdo Gengenem oraz księżętami mongolskimi. W końcu 1920 wyruszył do Mongolii i dwiema sotniami Tybetańczyków błyskawicznie zdobył Urgę. W atmosferze euforii i ogólnonarodowego powstania osadził „Żywego Boga” z powrotem na tronie. Wszedł także w posiadanie bankowego złota znajdującego się w odbitej z rąk Chińczyków Urdze.

Co się stało z tym złotem?

Motyw skarbów, zagarniętych przez barona w trakcie jego syberyjskiej i mongolskiej epopei, przewija się niemal w każdej poświęconej mu publikacji. Panu-

je zgoda, że skorzystał z części carskiego złota, zwanego „złotem Kołczaka”, oraz że otrzymał też solidne wsparcie od Japończyków, które przeznaczał na zakup broni. Ponadto, stacjonując w Daurii (dzisiejszy Zabajkalsk) i będąc w stanie zatrzymać każdy pociąg jadący do Chin, bez skrupułów rekwirował złoto i kosztowności wywożone przez uciekających od bolszewików carskich dygnitarzy.

A co się stało ze złotem z Urgi? Jedną z najpełniejszych odpowiedzi pozostawił właśnie inż. Kazimierz Grochowski. W 1928 r. opublikował szerszą wersję wydarzeń w książce „Polacy na Dalekim Wschodzie” wydanej w Harbinie. Czytamy w niej m.in.:

„Kiedy ten śmiały i rycerski wojownik zobaczył, że rosyjscy żołnierze na każdym kroku go zdradzają i że jego ekspedycja mongolska musi zakończyć się katastrofą, zaczął obmyślać środki ratunku. (...) Pierwszym krokiem, jaki przedsięwziął, było odesłanie kasy polowej terenu wojennego do miejsc bezpiecznych na wschodzie. (...) Do odwiezienia wyznaczyl maleńki oddział złożony

z 16 zaufanych żołnierzy – Mongołów i Tatarów. Złoto zapakowane w 24 skrzyniach, każda ważąca 4 pudy (65,6 kg), załadowane było na arby, tj. mongolskie dwukółki. W każdej znajdowało się po 3 i pół puda złotych monet netto. Oddział, zaopatrzony obficie w konie rezerwowe, wyruszył z obozu barona i szybkim marszem podążał na wschód, aby możliwie najszybciej dotrzeć do Hajjaru, skąd skrzynie ze złotem miały być wysłane koleją za granicę.

Po kilku dniach marszu ekspedycja ungerska spotkała się z kilkakrotnie liczniejszym oddziałem wojsk czerwonych. (...) Zawiązały się parokrotne potyczki, kończące się niekorzystnie dla żołnierzy krajowych. Ciężko rannych, aby nie dostali się do niewoli, dobijano strzałami z mauserów. Pozostali przy życiu dążyli forsownym marszem do zbawczego Hajjaru. W odległości mniej więcej 160 km od tego miasta krajowcy doszli do przekonania, że nie zdołają wykonać polecenia barona... Na naradzie odbytej głęboką nocą postanowili złoto ungerskie zakopać, a sami ratować się ucieczką. W lekko fałistej okolicy stepowej, pokrytej rzadkimi krzakami, wyszukano małe wgłębienie gruntu, tutaj wykopano jamę, w której złożono wszystkie 24 skrzynie ze złotem, a oprócz tego jeszcze ciężki, ważący siedem pudów kufer barona, który był pokryty blachą cynkową. Co było w tym kufrze, krajowcy nie wiedzieli i sądzą, że były tam baronowskie papiery. Po tym wszystkim wyruszone natychmiast w dalszą drogę. (...) Ale w kilka godzin po wschodzie słońca doznali ich bolszewicy jeźdźcy. Po krótkiej strzelaninie

pozostali przy życiu krajowcy rozproszyli się na wszystkie strony. Tylko dwóch z nich dotarło żywymi do Hajjaru...”

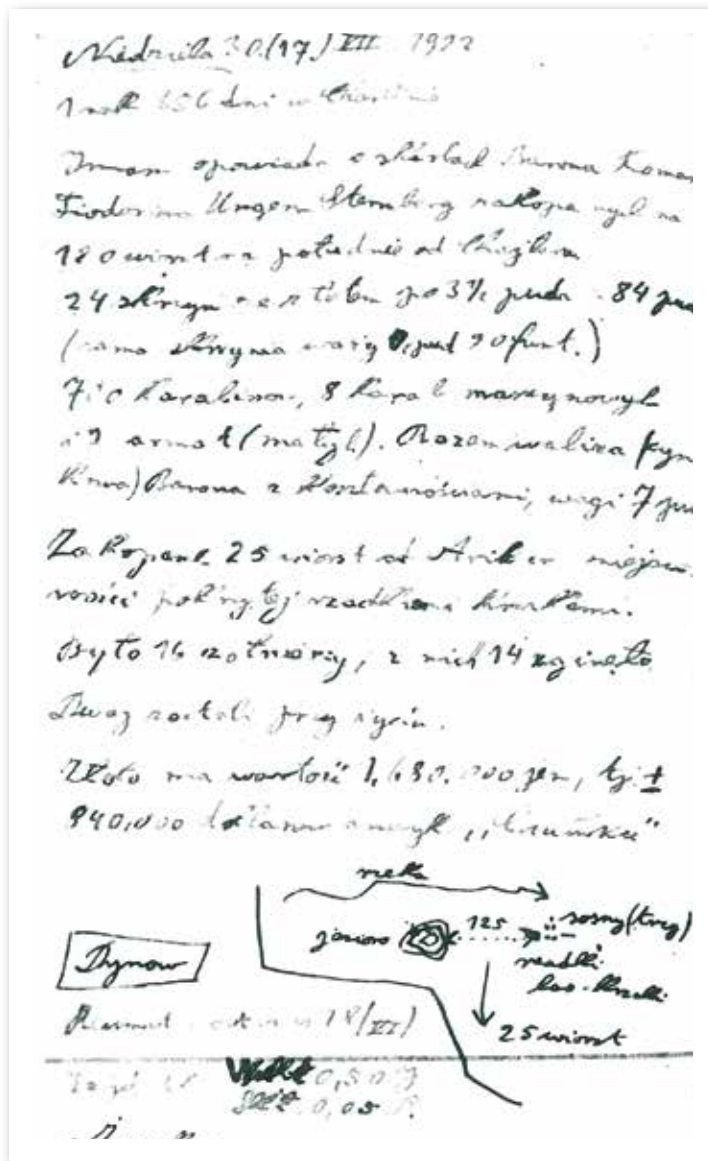
Ostatnie zdanie w tej relacji Grochowskiego brzmi następująco:

„Za właściciela tego złota uważa się Bank Chiński, na tej podstawie, że niby to większość złotych monet ma pochodzić z Chińskiego Banku Państwowego

zdołem w 1957 podczas pobytu w Harbinie i relację Grochowskiego opublikowałem w cyklu artykułów w „Dookoła świata”. Podjąłem próbę zidentyfikowania miejsca ukrycia skarbu, stwierdzając, iż powinno ono znajdować się na terenie koncesji Grochowskiego (nad rzeką Chałchyn-Goł w pobliżu jeziora Buir-nor, w rejonie granicy mongolsko-chińskiej).

Redakcja otrzymała wtedy wiele listów od ludzi, którzy jeszcze pamiętali tamte wydarzenia. Jedną z krytycznych replik ukazała się we wrocławskim tygodniku „Odra”. Autor, podpisujący się mongolskim pseudonimem Cagan Tołgoi, zwracał uwagę na fakt, że ungerscy aż czterokrotnie zakopywali w stepie zbyteczną broń i amunicję i że krajowcy mogli zakopywać skarby, nawet o tym nie wiedząc. Nie negował, że „złoto Ungerna” mogło leżeć w miejscu wskazanym przez Grochowskiego, słusznie jednak zwracał uwagę, iż Mongołowie potrafili „odkryć w stepie ślad kulawego konia” i że zakopany skarb zostałby natychmiast znaleziony. Dopiero po latach dowiedziałem się, że moim polemistą z „Odry” był nikt inny, tylko były adiutant barona Ungerna – pisarz Kamil Giżycki.

Wersji ukrycia skarbu jest znacznie więcej. Jedną z nich wiąże się z obecną, także w polskich publikacjach, historią listu Ungerna, napisanego tuż przed wykonaniem na nim wyroku śmierci w Nowonikołajewsku. Zawierał rzekomo nazwisko Polaka mającego znać to miejsce. Adresowany do Niemiec list miał tam trafić via Tokio. Wcześniej jednak z jego treścią zapoznawali się zapewne japońskie służby. Kto mógł być tym ta-



w Urdze, który to bank baron Ungern-Sternberg ... w rzeczywistości obrabował.”

Tajemnicę znał Polak

Książkę „Polacy na Dalekim Wschodzie”

jenniczym Polakiem? I kto ewentualnie mógł później rozpocząć dyskretnie poszukiwania?

Z notatników Grochowskiego wynika, że przynajmniej czterokrotnie, w latach 1924-34, przebywał on na miejscu domniemanego ukrycia skarbu, z racji podejmowanych na tym terenie badań i podróży. Zmarł w 1937 r., trzy lata po swojej ostatniej tam wyprawie. Brzegiem jeziora Buir-nor biegła uczęszczana od wieków trasa z Mongolii do Hajłaru. Podróżowali nią także Antoni Ferdynand Ossendowski – jeszcze jeden zaufany Polak z otoczenia Ungerna oraz Kamil Giżycki. Jednak po zajęciu przez Japończyków Mandżurii nie było już szans na penetrowanie obszaru koncesji. Inna jej część znalazła się na terytorium już komunistycznej Mongolii, co skutkowało tym samym.

A sugestia Giżyckiego w „Odrze”? Miejscowość Cagan Tołogoi znajdowała się poza koncesją Grochowskiego, na terytorium Mongolskiej Republiki Ludowej. Jeśli tak, to może japońskie tajne służby próbowały go tam odnaleźć? W książce „Fort Grochowski” (Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1982) zawarłem sugestię, że jedną z przyczyn japońskiej napaści na Mongolię w rejonie rzeki Chałchyn-goł w roku 1939, a konkretnie biorącogo w niej udział specjalnego oddziału majora Marito, mogła być posiadana przez Japończyków informacja o skarbie.

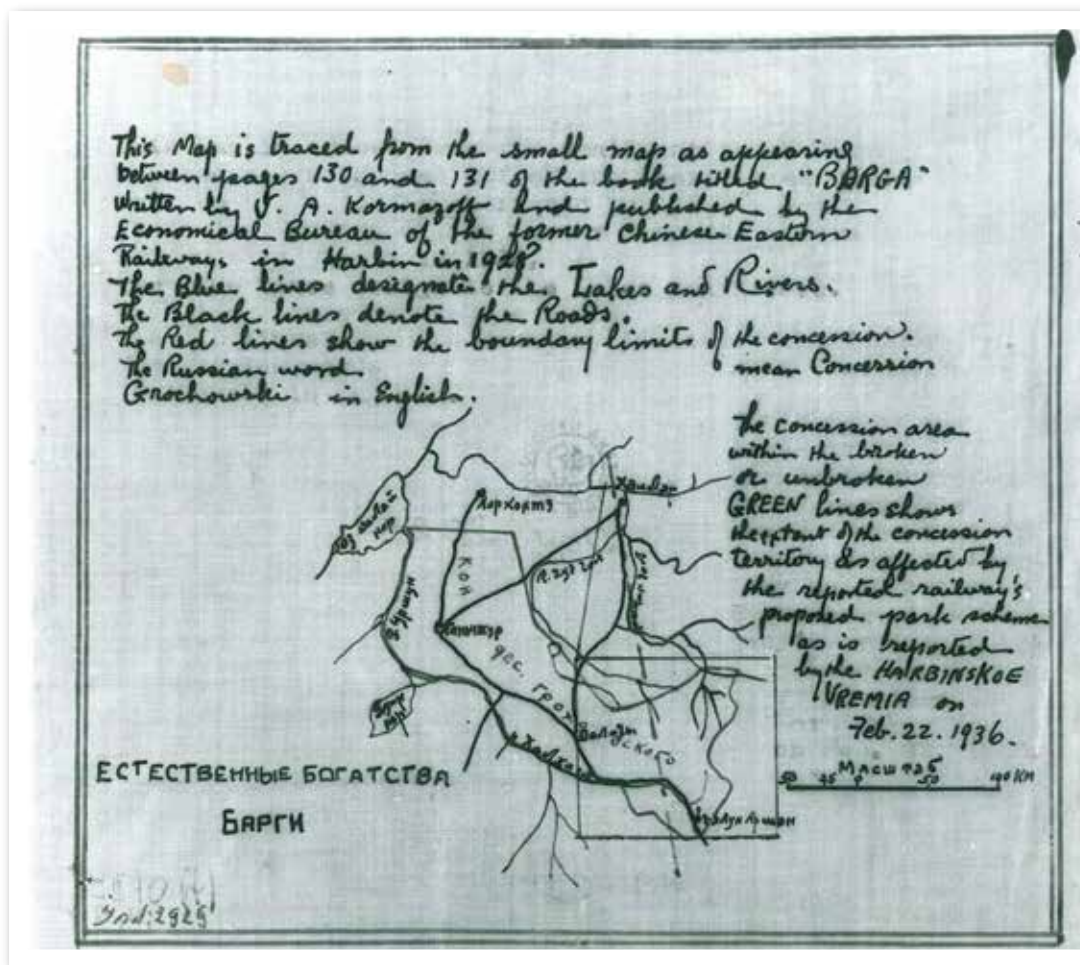
Świadek z Harbina

Najprawdopodobniejsza wydaje mi się wersja, jaką po raz pierwszy usłyszałem w Harbinie od G. – człowieka, który jako nastolatek został trafiony do czerwonych. Został lekko ranny już w pierwszej potyczce, dostając się do ungerskiej niewoli. Potem z „Dziką Dywizją” dotarł do Urgi. Tam kilka razy ładował na arby ciężkie skrzynie z rzekomą amunicją. Po roku pobytu w Urdze, tuż przez ostateczną klęskę barona, udała mu się ucieczka do Hajłaru, a stamtąd do Harbina, gdzie go poznałem w 1948.

Miał tam antykwariat.

Jego wersja różniła się nieco od tej podanej przez Grochowskiego. Mówił, iż krajowcy mieli dostarczyć złoto do la-mackiego klasztoru w Gandźurze albo w Hajłarze i że jechali ze zwojem, pismem opatrzonym pieczęcią samego „Żywego Boga”. Gdy zdali sobie sprawę, że ładunek może wpaść w ręce bolszewików, zdecydowali (na owej nocnej naradzie wspomnianej przez Grochowskiego),

przez lamów, dostać się w ręce Japończyków, paść łupem Armii Czerwonej lub Chińczyków. Uważał, że najbardziej prawdopodobne jest, iż pozostaje nadal w podziemiach klasztoru. I tu ciekawostka: w czasie jednej ze wspomnianych ekspedycji Grochowski dotarł do Gandźuru. Odnotował, iż rozmawiał z przeorem klasztoru, choć zapis o treści ich rozmowy ograniczył do informacji na temat skarbow... duchowych.



że zakopią część broni, później zaś rozdzielą się, aby móc zmylić pogoń. Dla zyskania na czasie rozbili jedną ze skrzyń ze złotem, zmieszały z ziemią monety i rozrzućili je w okolicy wykopu. Ścigający ich czerwoni rzucili się do rozgrzebywania dołu i zanim zrozumieli, że padli ofiarą triku, część ludzi Ungerna mogła dotrzeć do klasztoru.

Jaki był dalszy los skarbu, G. nie wiedział, choć miał na ten temat swoje własne przemyślenia. Mógł zostać ukryty

A co z Hajłarem? Część budynków tamtejszego klasztoru legła w gruzach jeszcze podczas sowiecko-chińskiego konfliktu zbrojnego w 1929 roku. Pozostała część zniszczona została w trakcie ofensywy Armii Czerwonej przeciw Japończykom w 1945 r. Po wojnie już go nie odbudowano, a później w tym miejscu powstał ogólnodostępny park miejski. Być może więc złoto barona Ungerna spoczywa pod alejkami, po których biegają dzieci i spacerują zakochane pary. ○

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

Tradycyjna kuchnia norweska jest zdrowa i prosta. Pożywne i smaczne posiłki są dostosowane do długich zim, gdy brakuje świeżych produktów, a mieszkańcom potrzeba dużo energii.

Podstawowe miejsce w diecie zajmują ryby i owoce morza. Wody Norwegii obfitują przede wszystkim w dorsze i cenione na całym świecie łososie. Popularne są rybne placki (*fiskekaker*), zupy (*fiskesuppe*) i puddingi (*fiskepudding*). Najchętniej jedzone mięsa to baranina, jagnięcina oraz mięso renifera. Głównym dodatkiem do dań są ziemniaki posypane koperkiem – częstym składnikiem wielu dań i sosów.

Norwegowie świetnie opanowali sztukę przetwarzania i konserwowania jedzenia. Popularne są przetwory z warzyw i owoców oraz suszone, marynowane, wędzone ryby i mięsa, jak *gravlax* – marynowany łosoś oraz *tørrfisk* (sztokfisz) – ryba suszona na słońcu.

Desery również są proste. Królują sałatki owocowe, kisiele, a na specjalne okazje przygotowuje się *rømmegrøt* (rodzaj puddingu). W ramach przekąski czy śniadania jada się puszyste naleśniki *sveler* oraz gofry *vaffler*, najczęściej podawane z dżemem, śmietaną i brązowym serem *brunost* o charakterystycznym karmelowym smaku.

Marta Fryziak



ŁOSOSIOWE FISKEKAKER

SKŁADNIKI (na ok 8 placków):

czas przygotowania: 50 minut

300g wędzonego łososia bez skóry
1 szklanka jogurtu naturalnego
1 jajko
5 łyżek mąki
3 łyżki drobno pokrojonego szczypiorku
1 łyżeczka pieprzu
sok z połowy cytryny
oliwa z oliwek do smażenia

Składniki wrzucić do blendera i zmiksować na farsz albo dokładnie połączyć ręcznie. Rozgrzać patelnię z niewielką ilością oliwy. Nakładać łyżką odrobinę powstałej masy na patelnię, formując okrągłe placki. Smażyć aż się zarumienią – około pięć minut z każdej strony.

SOS MUSZTARDOWY

SKŁADNIKI:

3 łyżki musztardy dijon (może być również zwykła stołowa)
5 łyżek świeżo posiekanego koperku
2 łyżki miodu
2 łyżki octu z czerwonego wina
2 łyżki soku z cytryny
3 łyżki oliwy z oliwek
szczypta soli i pieprzu

Wszystkie składniki dokładnie wymieszać, podawać sos do placków.

Przepis nadesłała:
Pani Marta Fryziak

Góry zimą

Góry przez cały rok mogą nas zaskoczyć zmienną i nieprzewidywalną pogodą. Zimą jest to tym bardziej prawdopodobne. Dlatego odpowiednia odzież oraz sprzęt są niezwykle ważne podczas górskich akcji. Poniżej prezentujemy ciekawe propozycje wiodących marek outdoorowych.



PIEPS VECTOR

Przełomowa nowość na rynku, która otwiera całkowicie nowy wymiar w kwestii zasięgu i szerokości pasma poszukiwań. To czteroantenowy detektor wyposażony w moduł GPS, który wspiera w początkowej fazie poszukiwania i powiadamia służby ratunkowe. Posiada ekonomiczny akumulator litowo-jonowy. Umożliwia oznaczenia i szukanie z wykorzystaniem map GPS. Jeśli chcecie czuć się bezpiecznie w górach, powinniście się zaopatrzyć w ten sprzęt.

Cena: 1970 zł
www.pieps.pl



Cena: ok. 450 zł
www.ravenoutdoor.com

BLACK DIAMOND CONTACT

Bardzo lekkie, dziesięciozębne raki rekomendowane turystom wysokogórskim. Wyposażone są w nakładki przeciwśnieżne ABS Black Diamond, dzięki którym śnieg nie przylepia się do raków i butów. Przeznaczone są do każdego rodzaju obuwia górskiego, dzięki łatwemu, szybkiemu i precyzyjnemu koszykowemu mocowaniu. Wykonane są z hartowanej stali nierdzewnej. Model Contact, ze względu na swoją bardzo niską wagę, polecany jest również ski-touringom. Pasują do rozmiarów butów z przedziału 38-46.

Cena: ok. 680 zł
www.greenland.com.pl

DOLOMITE TOFANA GTX

Wysokiej klasy buty trekkingowe wykonane z pełnoziarnistej skóry wierzchowej i nubuku. Oddychalność zapewnia membrana Gore-Tex, a dobrą przyczepność – podeszwa Dolomite Vibram. To dobry but dla wszystkich amatorów górskich wypraw, którzy szukają bezkompromisowych rozwiązań.



Cena: ok. 300 zł
www.thenorthface.com

THE NORTH FACE M CAMPECHE FULL ZIP

Klasyczny polar męski wykonany z szybko-schnącego, lekkiego i przyjemnego w dotyku materiału Polartec Classic Micro. Kurtka została wyposażona w zamek błyskawiczny na całej długości, kieszeń na piersi oraz dwie kieszenie boczne zapinane na zamek. Campeche Full Zip to doskonały wybór zarówno jako warstwa wierzchnia, jak i warstwa wewnętrzna podczas chłodniejszych dni.



Cena: ok. 1700 zł
www.adidas.pl/outdoor



ADIDAS TERREX™ SKYCLIMB

Linia Terrex Skyclimb to wszechstronna odzież o szerokim zastosowaniu, zaprojektowana z myślą o skialpinistach. Dzięki hybrydowej konstrukcji wykorzystującej 3-warstwowy laminat Cocona® i materiał typu soft shell zapewniają skuteczne zarządzanie indywidualną ciepłotą ciała użytkownika w różnych warunkach pogodowych. Dzięki odzieży Skyclimb skialpinści mogą przemieszczać się szybciej i z lżejszym obciążeniem, nie nosząc już w plecaku zestawu ubrań na zmianę.

GARMONT TUNDRA GTX

To buty zaprojektowane przez Garmonta na życzenie polskich odbiorców. Odporne na trudne warunki pogodowe dzięki Gore-Tex® Sierra. Zastosowana podeszwa Vibram® Grivola charakteryzuje się bardzo dobrą przyczepnością do różnorodnego podłoża i samooczyszczaniem z błota lub śniegu. Cholewki i śródpodeszwy butów są dla każdego modelu specjalnie projektowane – decydują one o komforcie na dłuższych dystansach. W opiniach testerów buty te są najwygodniejsze w swojej klasie.

Waga: 1 230 g



Cena: ok. 490 zł
www.paker.pl



PETZL SUM'TEC

Lekki czekan techniczny do alpinizmu klasycznego. Wygięte stylisko i ostrze typu „banan”, czynią go idealnym sprzętem dla wspinaczy, którzy w stromym terenie preferują czekan bardziej techniczny. Jest to hybrydowe narzędzie – kompromis pomiędzy tradycyjnym czekanem alpinistycznym a technicznym czekanem do lodu. Ręka chroniona przez wygięte stylisko nie ma kontaktu z podłożem. Ostrze cieńsze na końcu pozwala na skuteczne wbijanie nawet w twardey lód i jest łatwo wymienne. Głowica ze stali nierdzewnej zapewnia wygodny uchwyt. Wysokość wspornika TRIGREST umożliwia albo wbijanie styliska bez przeszkód w śnieg albo wspomaga uchwyt i ułatwia wychodzenie w stromym terenie. Dostępny w wersji czekan i czekanomłotek.

Długości: 52 cm / 59 cm, Waga: 485 g / 505 g. Czekan: stylisko typu T / ostrze typu B

Cena: ok. 600 zł
www.petzl.pl



Cena: ok. 500 zł
www.salewa.pl

SALEWA TERMINAL DURASTRETCH

Wielofunkcyjne, mocne i niezwykle elastyczne spodnie wykonane z materiału Salewa Silvershell. Są odporne na otarcia z zewnątrz, wygodne i miłe dla ciała wewnątrz. Posiadają 2 kieszenie przednie oraz tylne, profilowane kolana. Spodnie dostępne w wersji długiej oraz krótkiej.

BOREAL ARWA BI-FLEX

But przeznaczony do technicznej wspinaczki lodowej i mixtowo-lodowej. Posiada sztywną podeszwę środkową dla zapewnienia stabilności w rakach, wewnętrzne ocieplenie potrójną warstwą Thinsulate oraz neoprenowe zakładki poprawiające izolację termiczną. Podeszwa Vibram Teton przystosowana do raków automatycznych z bocznym ochronnym rantem i warstwami EVA i PU zapewniającą amortyzację wstrząsów i izolację. System Bi-Flex gwarantuje dopasowanie i boczną ruchomość stopy w technicznym terenie, a trzyczęściowy system regulacji języka VTS – komfort i optymalną pracę stopy. System HFS doskonale trzyma piętę, zapobiegając podnoszeniu się jej w butcie. System Boreal Dry-Line zapewnia idealną wodoodporność i oddychalność.



Cena: ok. 1600 zł
www.e-boreal.com/pl

BOREAL NELION

Wszechstronny całoroczny but, idealny do trudnego trekkingu, na wielodniowe wyprawy oraz szybkie wejścia zimowe. Przystosowany do raków półautomatycznych, posiada usztywnioną podeszwę środkową dla zapewnienia stabilności oraz warstwę EVA absorbującą wstrząsy. Wykonany ze skóry split-hide o grubości 2,6 mm. System Boreal Dry-Line zapewnia wodoodporność i oddychalność. System HFS wewnątrz doskonale trzyma piętę, zapobiegając podnoszeniu się jej w butcie.



Cena: ok. 1000 zł
www.e-boreal.com/pl

Cena: ok. 47 zł
www.nordhorn.com.pl

NORDHORN NH4W MERINO WOOL

Trekkingowe skarpety zaprojektowane z myślą o najbardziej wymagających. Wygodę noszenia jak również komfort ciepły gwarantuje Merino Wool – australijska wełna najwyższej jakości. Szczególny charakter wełny wynika z budowy włókien – chroni ona zwierzęta przed utratą ciepła w zimie i niebezpiecznym przegrzaniem organizmu w lecie. Włókna są jednolite i puchowe, zbudowane z milionów cienkich kanalików, które hamują przepływ powietrza i absorbują ciepło wytwarzane przez organizm. Skarpety idealnie dopasowują się do nogi, a dzięki strefie z włókien COOLMAX® oraz odpowiedniemu splotowi, odprowadzają pot i wilgoć na zewnątrz.



Nasi bracia mniejsi

Czwartego października, kiedy w Kościele katolickim wspomina się św. Franciszka, patrona zwierząt, ekologów i ekologii, rozpoczyna się też Światowy Tydzień Zwierząt. Ustanowiono go w 1931 roku na konwencji ekologicznej we Florencji. Chciano w ten sposób zwrócić uwagę społeczeństwa na los bezdomnych zwierząt, warunki bytowe w schroniskach, a także nielegalne hodowle psów szkolonych do walk.

Na zdjęciu:
święcenie zwierząt przed kościołem
Matki Boskiej Częstochowskiej
w Warszawie, październik 1936 roku.







ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE



BRAZYLIA



CZAD

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego

Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl · tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji

Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak, Paweł Chara,
Grzegorz Kapla, Marcin Kołpanowicz,
Romuald Koperski, Robert Mazurek, Dariusz Rosiak,
Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress

Artur Bury

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordinator do spraw wydawniczych

Beata Pernak
tel. 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA



facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama

Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl

Olga Kołakowska
tel. 501 050 624
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć.
Redakcja nie odpowiada za treść
zamieszczanych reklam i ogłoszeń.



Buty wyjątkowe jak odciski palców – pierwsze buty z „rodowodem“! Każda para posiada indywidualny numer oraz certyfikat ręcznie podpisany przez pracownika firmy Meindl. Seria Identity to gwarancja produktu regionalnego, wykonanego z najwyższej jakości materiałów przy pełnym poszanowaniu środowiska naturalnego.

Island MFS Lady Active Identity



www.meindl.pl

terrex hybrid jacket



utrzymuje idealną temperaturę Twojego ciała przez cały czas.
WINDSTOPPER® chroni przód i ramiona, a oddychający materiał Soft Shell zapewnia właściwą wentylację na plecach, dzięki czemu zachowujesz ciepło i suchą skórę.
Poprawiaj swoją efektywność, skupiając się jedynie na przechwytych.

adidas.pl/outdoor

